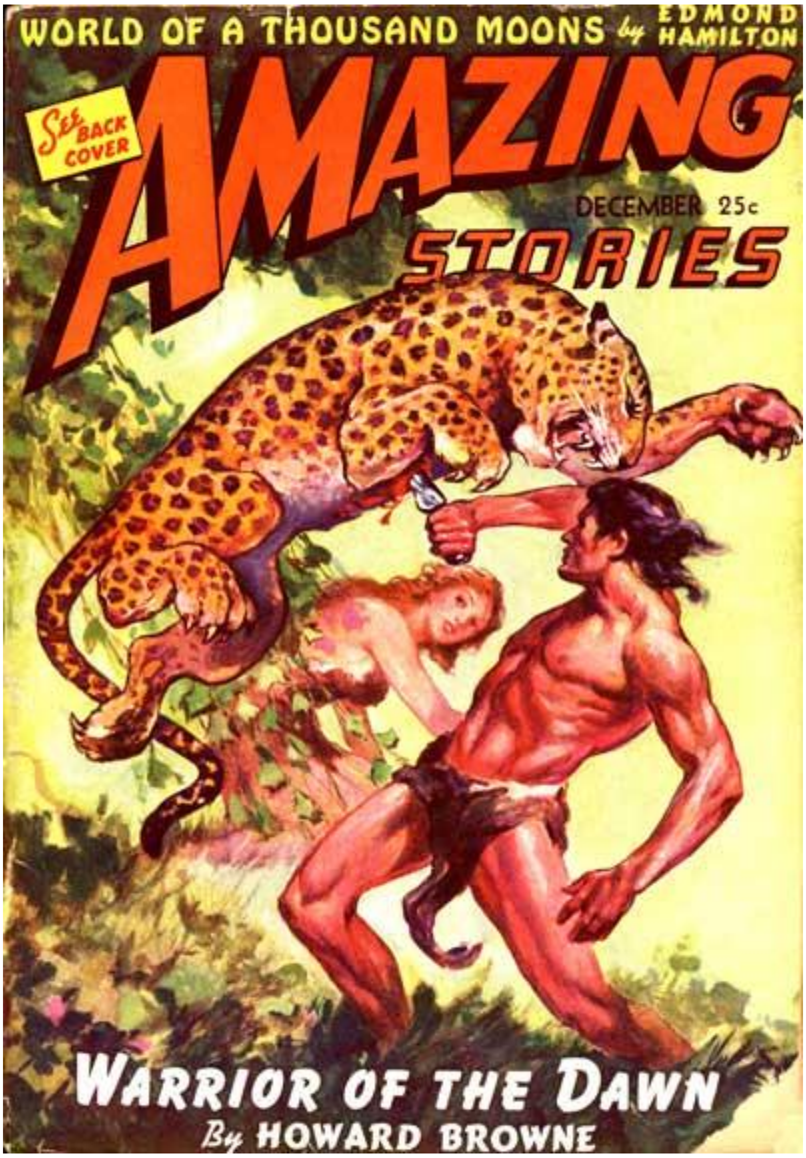

WORLD OF A THOUSAND MOONS by EDMOND HAMILTON
SEE BACK COVER
AMAZING
DECEMBER 25c
STORIES
WARRIOR OF THE DAWN
By HOWARD BROWNE

Edmond Hamilton

Planeta tysiąca księżyców

(The World with a Thousand Moons)

Amazing Stories, December 1942
Okładka: J. Allen St. John
Ilustracje wewnątrz:
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



Las był piekłem pełnym brutalnych bestii

Nieubłagana śmierć była jedna romantyczną rzeczą, która można było znaleźć na tej błyszczącej chwałą tysiąca księżyców planecie.

Rozdział 1
Rejs w poszukiwaniu przygód

Wychodząc z budynku na ostry chłód marsjańskiej nocy, Lance Kenniston czuł w duszy równie zimną świadomość niepowodzenia. Zatrzymał się na chwilę. Jego szczupła pociągła twarz, w świetle dwóch pędzących po niebie księżyców, wyglądała na wręcz wynędzniałą.

Rozejrzał się pozbawionym nadziei spojrzeniem po ciemnym porcie kosmicznym. Był duży, ponieważ to starożytne miasteczko na Syrtis stanowiło główny port Marsa. Podwójne światło przemieszczających się w górze księżyców, ukazywało szereg statków zadokowanych polu startowym — wielki liniowiec, kilka frachtowców, mały lśniący krążownik i wiele innych mniejszych maszyn. Ale ponieważ nie był w stanie zdobyć żadnego z tych statków, jego nadzieje legły w gruzach.

Obok Kennistona pojawiła się jakaś przysadzista, muskularna postać w bezkształtnym ubiorze kosmicznym. To był Holk Or, Jowianin który czekał na jego powrót.

– No i jak poszło? – spytał Jowianin basowym szeptem.

– To beznadziejne – odparł Kenniston ze zmęczeniem. – Nigdzie tutaj nie da się dostać żadnego małego krążownika, za żadną cenę. Górnicy meteorowi wykupują wszystkie małe statki.

– Diabli nadali! – wymamrotał skonsternowany Holk Or. – No i co teraz zrobimy? Polecimy na Ziemię i tam spróbujemy zdobyć jakiś krążownik?

– Nie możemy tego zrobić – odparł Kenniston. – Przecież wiesz, że musimy wrócić na tę asteroidę w ciągu dwóch tygodni. Trzeba kupić jakiś statek tutaj.

Desperacja spowodowała, że w głosie Kennistona pojawiło się napięcie. Na jego szczupłej, twardej twarzy widać było ponurą świadomość katastrofalnej porażki.

Wielki Jowianin podrapał się po głowie. Kiedy tak gapił się na pełen statków port kosmiczny, jego zielona zmaltretowana twarz, w ruchomej poświacie księżyców, nieświadomie przybrała wyraz zakłopotania i bezradności.

– Ten lśniący mały krążownik, byłby dla nas akurat – wymamrotał Holk Or, przyglądając się stojącemu w pobliżu błyszczącemu pojazdowi w kształcie torpedy. – Dałoby radę załadować na niego cały towar, jaki musimy ze sobą zabrać, a przy pomocy robotów, moglibyśmy obsłużyć go we dwóch.

– Nie ma najmniejszych szans na zdobycie tej maszyny – wyjaśnił mu Kenniston. – Dowiedziałem się, że została wyczarterowana przez gromadę bogatych młodych ludzi z Ziemi, którzy przylecieli tutaj żeby urządzić sobie wyprawę w poszukiwaniu przygód. Szefową tej grupy jest dziewczyna o nazwisku Loring, dziedziczka Loring Radium.

Jowianin zaklął pod nosem.

– Dokładnie taki statek, jaki jest nam potrzebny, a banda zepsutych dzieciaków wykorzystuje go w poszukiwaniu dreszczyka emocji.

Kenniston wpadł na pewien pomysł.

– Być może – powiedział powoli. – do tego czasu zmęczyli się już nieco tą całą wyprawą, i sprzedadzą nam statek. Chyba wybiorę się do Terra Hotel i zobaczę się z tą panną Loring.

– Pewnie, w każdym razie przynajmniej możemy tego spróbować – zgodził się z nim Holk Or.

Ziemianin popatrzył na niego z niepokojem.

– Holk, czy nie powinieneś siedzieć po cichu? Patrol Planetarny ma na ciebie długą kartotekę i to już od dosyć dawna. Gdyby ktoś cię rozpoznał…

– Phi, przecież oni myślą, że ja już nie żyję, nieprawdaż? – zadrwił Jowianin. – Nie ma żadnej możliwości, żeby nas złapali.

Kenniston nie był tego taki pewien, ale za bardzo mu się śpieszyło, by tracić teraz czas na dyskusje. Razem z ciężko kroczącym Jowianinem, ruszyli więc z portu kosmicznego przez starożytne marsjańskie miasto.

Ciemne ulice starego Syrtis, nie były specjalnie zatłoczone. Marsjanie nie byli istotami lubiącymi prowadzić nocne życie, i podczas tego okresu zimna i ciemności, jedynie niewielu z nich ruszało się poza dom. Nawet ci chodzili opatuleni w ciężkie palta z syntwolu, z których wystawały tylko ich łyse czerwone głowy i ponure trupie twarze.

W tym głównym porcie planety, kręciło się całkiem sporo Ziemian. Większość z nich, stanowili chełpiący się kosmiczni żeglarze, dostatnio wyglądający handlowcy i prości górnicy meteorowi. Było również kilku turystów, gapiących się na groteskowo wyglądające stare budynki z czarnego kamienia, a na rogu, pod kryptonową lampą, stało dwóch mężczyzn w szarych mundurach Patrolu, czujnie przyglądających się wszystkim przechodzącym. Kenniston odetchnął z ulgą, kiedy on i Jowianin, minęli obu funkcjonariuszy, bez żadnych kłopotów.

Hotel Terra ulokowany był w ogrodzie na obrzeżach miasta, frontem do zalanego księżycowym światłem bezmiaru pustyni. Ten błyszczący szklany blok, został specjalnie zbudowany tak, by zaspokajać potrzeby rzeszy turystów z Ziemi, a więc w środku panowały warunki ziemskie. Siła ciężkości, ciśnienie powietrza i wilgotność wewnątrz budynku, ku większej wygodzie zamieszkujących go gości, utrzymywane były dokładnie w zgodzie ze standardami na Ziemi.

Kenniston czuł się dziwnie przytłoczony przez ciepłe, delikatne powietrze wewnątrz dobrze oświetlonego hallu. Spędził już tak wiele czasu z dala od Ziemi, że mniej więcej zaadaptował się do rzadszych i zimniejszych atmosfer.

– Panna Gloria Loring? – powtórzył nienagannie ubrany młody człowiek z Ziemi, siedzący w informacji. Jego wzrok oszacował zniszczone kosmiczne ubiory Kennistona i wielkiego zielonego Jowianina. – Niestety, obawiam się…

– Jestem tutaj, aby zobaczyć się z nią w ważnych sprawach w interesach, osobiście – ostro rzucił Kenniston.

Chłód urzędnika natychmiast stopniał.

– Och, rozumiem! Wydaje mi się, że grupa panny Loring znajduje się obecnie w The Bridge. To nasza sala koktajlowa… na najwyższym piętrze,

Jadąc z Holkiem Orem na górę, pneumatyczną windą, Kenniston czuł się fatalnie nie na miejscu. Inni Ziemianie w kabinie, mężczyźni i kobiety ubrani zgodnie z najnowszą modą w formalne stroje z połyskującego syntetycznego jedwabiu, wpatrywali się w niego i w Jowianina, tak jakby byli zdziwieni, w jaki sposób ktoś mógł ich w ogóle wpuścić do środka.

Światła, jedwabie i wykwintne zapachy, spowodowały, że Kenniston czuł się jeszcze bardziej obdarty, niż faktycznie był. Wszystkie te luksusy były bardzo odległe od twardego niebezpiecznego życia, jakie prowadził już od tak dawna, pomiędzy dzikimi asteroidami i księżycami planet zewnętrznych.

W błyszczącej sali koktajlowej na najwyższym piętrze hotelu, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Glasytowe ściany i sufit, i zostało tak zaprojektowane, by stwarzać wrażenie mostka nawigacyjnego statku kosmicznego. Orkiestra grała ukryta za sztucznym pulpitem ze sterami, przyrządami i urządzeniami sterującymi silnikami rakietowymi. Na ścianach dla ozdoby wisiały bezsensowne mapy kosmiczne. Kenniston pomyślał sobie pogardliwie, że był to dokładnie taki rodzaj pretensjonalnego kiczu, jaki powinien przemawiać do turystów.

– Ale tłum! – wymamrotał Holk Or, omiatając wzrokiem stoły pełne bogato ubranych i obwieszonych biżuterią ludzi. Jego małe oczka rozbłysły. – Co za miejsce do plądrowania!

– Zamknij się! – pośpiesznie wymruczał Kenniston. Spytał kelnera o grupę panny Loring, i został poprowadzony do stojącego w rogu sali stolika.

Siedziało przy nim kilku ludzi, w większości młodych mężczyzn i dziewcząt z Ziemi. Popijali różowe marsjańskie wino deserowe, za wyjątkiem wyglądającego na naburmuszonego młodzieńca, który pozostał przy ziemskiej whisky.

Jedna z dziewcząt odwróciła się, i kiedy kelner wyszeptał jej uniżenie kilka słów, zmierzyła Kennistona chłodnym, obraźliwie obojętnym spojrzeniem.

– Nazywam się Gloria Loring – wycedziła przez zęby. – W jakiej sprawie chciał się pan ze mną widzieć?

Miała ciemne włosy, była szczupła i zaskakująco młoda. W jej nagich ramionach, odsłoniętych przez złotą elegancką suknię, widoczne były niemal dziecięce linie. Kenniston zauważył jednak, że jej niekłamany wdzięk i piękno, psuł znudzony wyraz czystych ciemnych oczu i pogardliwie opadające kąciki ust.

Siedzący koło niej pucołowaty, różowy młodzian, wpatrywał się z udawanym zdumieniem i grozą w stojącego za Kennistonem pokiereszowanego Jowianina. Odstawił swój kielich w teatralnym geście grozy.

– Ten marsjański trunek mnie rozłożył! – zawołał. – Widzę małe zielone ludziki!

Holk Or natychmiast rzucił się rozgniewany do przodu.

– Ty zasmarkany szczeniaku…

Kenniston pośpiesznie powstrzymał go gestem ręki. Odwrócił się z powrotem w stronę stołu. Niektóre z dziewcząt chichotały.

– Uspokój się, Robbie – powiedziała Gloria Loring do młodego pucołowatego dowcipnisia. Potem zwróciła swoje chłodne spojrzenie z powrotem na Kennistona. – A więc?

– Panno Loring, dowiedziałem się w porcie kosmicznym, że wyczarterowała pani pewien mały krążownik, *Sunsprite* – wyjaśnił Kenniston. – Rozpaczliwie potrzebuję tego typu statku. Gdyby mogła pani z niego zrezygnować, chętnie zapłaciłbym za pani czarter niemal każdą cenę jakiej pani zażąda.

Dziewczyna spoglądała na niego ze zdziwieniem.

– A niby dlaczego, na Boga, miałabym odstąpić panu nasz krążownik?

Kenniston odparł z żarliwością:

– Pani grupa może równie dobrze, a przy tym znacznie wygodniej, podróżować liniowcem. A zdobycie takiego krążownika jest w tej chwili dla mnie sprawą życia lub śmierci.

– Pańskie sprawy w ogóle mnie nie interesują, panie Kenniston – wycedziła powoli Gloria Loring. – A już z pewnością nie zaproponuję zmiany naszych planów, tylko po to, aby pomóc jakiemuś obcemu człowiekowi w rozwiązaniu jego problemów.

Kenniston zarumienił się z powodu tej chłodnej przygany. Stał tam, czując nagły przypływ gwałtownej niechęci do całej tej grupy rozpieszczonych smarkaczy.

– Poza tym – mówiła dalej dziewczyna, – wybraliśmy do tej podróży krążownik, ponieważ chcemy zejść z utartych szlaków wytyczanych przez trasy liniowców i zobaczyć coś nowego. Polecimy stąd na księżyce Jowisza.

Kenniston uświadomił sobie, że ci znudzeni, zepsuci młodzi ludzie, wyruszyli w kosmos wyłącznie w poszukiwaniu dreszczyka emocji na międzyplanetarnym pograniczu. Jego niechęć do nich jeszcze wzrosła.

Młody człowiek o czerstwej i trzeźwej twarzy, który wydawał się być nieco starszy i bardziej poważny od reszty towarzystwa, próbował przemówić dziedziczce do rozsądku:

– Gloria, mało doświadczeni podróżnicy kosmiczni, tacy jak my, na zewnętrznych planetach, łatwo mogą paść ofiarą paraliżu grawitacyjnego – powiedział do dziedziczki. – Wydaje mi się, że nie powinniśmy wypuszczać się dalej niż na Marsa.

Gloria popatrzyła na niego kpiąco.

– Jeżeli tak bardzo się obawiasz, Hugh, to dlaczego zostawiłeś swoje miłe, bezpieczne biuro na Ziemi, i wyruszyłeś razem z nami?

Pucołowaty młodzieniec, o imieniu Robbie, roześmiał się głośno.

– Wszyscy wiemy, dlaczego Hugh Murdock z nami poleciał. To nie dreszczyku emocji pożąda, ale ciebie, Gloria.

Wszyscy zaczęli kompletnie ignorować Kennistona. Poczuł, że został odprawiony, ale desperacko nie chciał się przyznać do utraty ostatniej nadziei na zdobycie statku. W jakiś sposób musi przecież wykombinować ten krążownik!

Przyszedł mu do głowy pewien podstęp. Jeżeli te zepsute snoby nie chcą zrezygnować ze swojego statku, to może przynajmniej uda mu się ich skłonić, aby udali się tam, gdzie jemu pasuje.

Kenniston zawahał się. To może oznaczać, że poprowadzi ich prosto w paszczę śmiertelnego niebezpieczeństwa. Ale od tego zależy ludzkie życie. Człowieka, który wart był więcej, niż ci wszyscy młodzi próżniacy razem wzięci. Zdecydował się, aby spróbować.

– Panno Loring, jeżeli poszukują państwo przygód i emocji, to być może będę w stanie ich dostarczyć – zaproponował Kenniston. – Być może dzięki temu będziemy mogli połączyć nasze siły. Co byście państwo powiedzieli na podróż w poszukiwaniu największego skarbu Układu Słonecznego?

– Skarb? – zawołała z zaskoczeniem dziedziczka. – Gdzie on jest?

Wszyscy nachylili się w jego stronę, z szybko rosnącym zainteresowaniem. Kenniston wyraźnie widział, że chwycili zastawioną przez niego przynętę.

– Czy słyszeli państwo może o Johnie Darku, sławnym piracie kosmicznym? – spytał.

Gloria potwierdziła głową.

– Oczywiście. Serwisy telewiadomości pełne były informacji o jego wyczynach, dopóki Patrol kilka tygodni temu nie pochwycił i nie zniszczył jego statku.

Kenniston poprawił ją:

– Patrol odnalazł statek Johna Darka na jednym z asteroidów, ale nie zniszczył go zupełnie. Ostrzelali statek piracki podczas walki w locie, zamieniając go we wrak. Ale zniszczony statek Darka zdryfował do niebezpiecznej strefy pełnej rojów meteorów, gdzie nie mogli za nim polecieć.

– Tak, teraz pamiętam. Właśnie tak to przedstawiały serwisy teleinformacyjne – przyznała dziedziczka. – Ale twierdzono też, że Dark i jego załoga bez wątpienia zostali zabici.

– John Dark – kontynuował Kenniston, – podczas swojej kariery zrabował dziesiątki statków. Nagromadził stosy biżuterii i cennych metali. I trzymał to przy sobie, na swoim statku. Ten skarb ciągle znajduje się w zaginionym wraku.

– Skąd pan to wie? – zapytał bez ogródek Hugh Murdock.

– Ponieważ sam, osobiście odnalazłem wrak statku Darka – odparł mu Kenniston. Nienawidził łgać w podobny sposób, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru.

Kenniston brnął dalej.

– Jestem z zawodu górnikiem meteorowym. Dwa tygodnie temu mój jowiański partner i ja, poszukiwaliśmy naszą małą rakietą cennych surowców, w zewnętrznej części strefy asteroidów. Nasze zbiorniki powietrza zaczynały już świecić pustką i aby je ponownie napełnić, wylądowaliśmy na asteroidzie o nazwie Westa. To wielka asteroida, którą czasami nazywa się Planetą Tysiąca Księżyców, ponieważ krąży wokół niej rój złożony z setek meteorów.

– To niesamowity, porośnięty dżunglą świat, zamieszkiwany przez pewne bardzo dziwaczne rodzaje żywych stworzeń. Podczas lądowania, mój partner i ja zauważyliśmy miejsce w dżungli, w którym rozbił się jakiś wielki obiekt. Wkrótce odkryliśmy, że był to statek Johna Darka. Wrak dryfował przed siebie, dopóki nie rozbił się na Weście, niemal kompletnie zagrzebując się w ziemi. Nikt na nim oczywiście nie przeżył.

Kenniston podsumował swoją opowieść:

– Wiedzieliśmy, że skarbiec Darka musi być pogrzebany gdzieś w szczątkach statku. Wydobycie wraku wymagałoby jednak użycia maszyn i odpowiedniego sprzętu. A więc, wróciliśmy tutaj, na Marsa, z zamiarem zakupu małego krążownika, załadowania na niego niezbędnego wyposażenia, a następnie powrotu na Westę i znalezienia skarbu. Tyle tylko, że nie udało nam się zdobyć żadnego statku.

Nachylił się w stronę dziewczyny:

– Panno Loring, oto moja propozycja. Zabierze pani nas oraz nasze wyposażenie na Westę, w swoim krążowniku, a my podzielimy się z panią po połowie skarbem. Co pani na to?

Siedząca obok Glorii blondynka aż pisnęła z podekscytowania.

– Skarb piratów! Gloria, zróbmy to! Cóż to byłaby za przygoda!

Pozostali okazywali równie duże podniecenie. Romantyzm poszukiwania skarbu na dzikich asteroidach kusił ich bardziej niż sama wartość możliwej nagrody.

– Gdybyśmy znaleźli skarb Johna Darka, z pewnością byłaby to wspaniała historia do opowiadania na Ziemi – przyznała pośpiesznie Gloria z gorliwym zainteresowaniem.

Wyjątkiem pośród ogólnego entuzjazmu był Hugh Murdock. Spytał Kennistona:

– A skąd pan wie, że skarb ciągle znajduje się we wraku?

– Ponieważ wrak, jak na razie, jest nienaruszony – odparł Kenniston. – I ponieważ znaleźliśmy te klejnoty na zwłokach jednego z członków załogi Johna Darka, który zdołał jakoś wydostać się z wraku statku, kiedy ten się rozbił.

Wyciągnął rękę z kilkoma klejnotami, które wyjął z kieszeni. Były to saturniańskie kamienie księżycowe, lśniące miękkim światłem klejnoty, których blask i rozjarzał się matowo i przygasał w doskonałym równomiernie powtarzającym się rytmie.

– Te klejnoty – mówił dalej Kenniston, – bez wątpienia były udziałem tego pirata w łupie. Możecie więc państwo sobie wyobrazić, ile musi być wart zapasik samego Johna Darka.

Widok klejnotów, wartych wiele tysięcy, zmiótł utrzymujące się jeszcze wśród niektórych, resztki niedowierzania, zgodnie zresztą z przewidywaniami Kennistona.

– Czy jest pan pewien, że nikt inny nie wie o tym, że ten wrak tam leży? – zapytała wstrzymując dech Gloria.

– Utrzymywaliśmy nasze znalezisko w absolutnej tajemnicy – oświadczył Kenniston. – Ale ponieważ w żaden inny sposób nie mogę zdobyć statku, jestem skłonny podzielić się z państwem zyskami. Jeżeli będę zbyt długo czekał, ktoś inny może również odnaleźć wrak.

– Przyjmuję pańską propozycję, panie Kenniston! – oznajmiła Gloria. – Startujemy na Westę natychmiast, jak tylko załaduje pan na *Sunsprite* wyposażenie, jakie chce pan zabrać ze sobą.

– Gloria, postępujesz zbyt pochopnie – zaprotestował Hugh Murdock. – Słyszałem trochę o tej planecie Tysiąca Księżyców. Opowieści o dziwnych, nieludzkich stworzeniach, nazywanych Westanami, które stanowią plagę tej asteroidy. Niebezpieczeństwo…

Gloria z niecierpliwością odrzuciła jego sprzeciwy.

– Hugh, jeśli masz zamiar znowu zacząć zamartwiać się zagrożeniami, to może lepiej będzie jeśli wrócisz z powrotem na Ziemię. Tam będziesz bezpieczny.

Murdock zarumienił się i umilkł. Kenniston poczuł pewne współczucie dla młodego biznesmena. Sam doskonale wiedział, w przeciwieństwie do pozostałych, jak rzeczywiste, było obce zagrożenie ze strony tych dziwacznych Westan.

– Udam się prosto do portu kosmicznego i dopilnuję załadowania wyposażenia na pani krążownik – powiedział Kenniston do dziedziczki. – Lepiej będzie też jeśli da mi pani notatkę dla pani kapitana. Powinniśmy być gotowi do startu na jutro.

– Piracki skarb na niezbadanej asteroidzie! – cieszył się entuzjastycznie Robbie. – Hej, dalej, na Planetę Tysiąca Księżyców!

Kiedy opuszczał hotel razem z Holkiem Orem, Kenniston czuł brzemię winy. Ci młodzi ludzie, nie mieli najmniejszego pojęcia o niebezpieczeństwie w jakie ich ładował. Byli tak nieświadomi ponurego zła i nieziemskiego niebezpieczeństwa panoszącego się na pograniczu międzyplanetarnym, jak dzieci.

Odepchnął od siebie wyrzuty sumienia. Stawka była tak duża, powiedział sobie z gwałtownością, że bezpieczeństwo gromady zepsutych bogatych młodych ludzi, absolutnie się nie liczyło.

Kiedy zanurzali się w chłód marsjańskiej nocy, Holk Or nieustannie chichotał. Powiedział Kennistonowi z podziwem w głosie:

– Ta historyjka o odnalezieniu skarbu Johna Darka, to było jedno z najbardziej gładkich kłamstw, jakie w życiu słyszałem. Przyjmij ode mnie gratulacje. To był majstersztyk!

Mówiąc dalej, już głośno rechotał:

– Ciekawe jak wyglądałyby ich twarze, gdyby wiedzieli, że John Dark i jego załoga, ciągle żyją? Że to właśnie John Dark osobiście, nas tutaj wysłał!

– Cicho siedź, ty idioto! – natychmiast mu rozkazał Kenniston. – Czy chcesz, żeby usłyszał cię cały Patrol?

Rozdział 2
Zdemaskowani

Sunsprite niestrudzenie przemierzał olbrzymie, niebezpieczne pustkowie strefy asteroidów. Wyglądało to jakby krążownik poruszał się w czarnej pustce, ozdobionej z wolna krążącymi okruszynami światła. W rzeczywistości zaś, te jasne krążące plamki, były mknącymi asteroidami, albo wirującymi rojami meteorów, pędzącymi po skomplikowanych orbitach, nieoznaczonymi na mapach i nieustannie grożącymi katastrofą.

Przez trzy dni, krążownik zagłębiał się niemal po omacku w najbardziej niebezpieczny region Układu Słonecznego. Obecnie, prosto przed nimi, w oddali błyszczała, jak wskazująca drogę latarnia morska, mała, jasna tarcza białego światła. To była Westa — cel ich wyprawy.

Kenniston, stał na pokładzie i opierając się o glasytową ścianę, posępnie przyglądał się dalekiej asteroidzie.

– Jutro do niej dolecimy – ponuro rozmyślał. – I co potem? Pewnie John Dark zatrzyma te bogate dzieciaki i zażąda za nich okupu.

Kenniston zdawał sobie sprawę, że przywódca piratów natychmiast dostrzeże szansę zatrzymania tej grupy bogatych młodych ludzi jako zakładników, i wyciśnięcia z ich rodzin ogromnych sum.

– Na Boga, żałuję, że musiałem ich w to wszystko wciągnąć – przeklinał Kenniston. – Ale co miałem zrobić? To był jedyny sposób, w jaki mogłem wrócić na Westę, razem z materiałami.

Jego myśli wróciły do katastrofalnego ciągu wydarzeń, jaki rozpoczął się trzy tygodnie temu, kiedy Patrol w końcu dopadł Johna Darka.

Statek piracki Darka, *Falcon*, został rozbity przez działa, zamieniając się w bezwolny wrak. Na szczęście dla piratów, zdryfował jednak w region niebezpiecznych rojów meteorów, gdzie krążowniki Patrolu nie ośmieliły się za nim zapuścić. Poza tym, jak przypuszczał Kenniston, funkcjonariusze Patrolu myśleli, że wszyscy na statku pirackim i tak już zginęli.

Ale John Dark i większość jego załogi, ciągle żyła w dryfującym wraku. Przed bitwą założyli skafandry kosmiczne, i to ich uratowało. Uczepili się z uporem dryfującego wraku swojego statku i w ten sposób w końcu dotarli w zasięg niewielkiego przyciągania grawitacyjnego Westy.

Kenniston ciągle dobrze pamiętał te pełne napięcia godziny, kiedy wrak spadał na asteroidę, przebijając się przez roje meteorów, orbitujące wokół Planety Tysiąca Księżyców. Udało im się zamortyzować upadek statku. John Dark zawsze był jednym z najbardziej pomysłowych ludzi, i udało mu się zbudować prowizoryczne toporne silniki rakietowe, które złagodziły uderzenie podczas upadku.

Zniszczony *Falcon*, pozostał jednak zdany wyłącznie na własne siły, w tej dziwnej porastającej asteroidę dżungli, otoczony przez obcych, niebezpiecznych Westan, którzy już zdążyli zebrać się wokół niego. Statek nie był w stanie polecieć z powrotem w kosmos, zanim nie zostaną wykonane choćby podstawowe naprawy. A one z kolei nie mogły zostać wykonane, zanim nie zostaną tam dostarczone duże ilości materiałów i sprzętu. Ktoś musiał wyruszyć po te materiały na Marsa, najbliższą planetę.

John Dark osobiście nadzorował budowę z części statku, małej dwuosobowej rakiety. Mieli nią polecieć Kenniston i Holk Or.

– Denniston, *musicie* wrócić w ciągu dwóch tygodni, ze sprzętem i materiałami z tej listy – podkreślał dobitnie Dark. – Jeśli pozostaniemy tutaj jako rozbitkowie przez dłuższy czas, albo dostaną nas Westanie, albo odkryje nas Patrol.

Herszt piratów dodał jeszcze:

– Klejnoty księżycowe, które wam daję, powinny z naddatkiem wystarczyć na zakup małego krążownika, jeżeli w ogóle będziecie mogli jakiś na Marsie kupić. Jeżeli nie będzie takiej możliwości, zdobądźcie statek jakimkolwiek sposobem, ale wracajcie tutaj szybko!

No cóż, ponuro pomyślał sobie Kenniston, zdobył krążownik, a to był jedyny sposób. W ładowniach wieźli ze sobą płyty ze stopów berylowych, zapasowe silniki rakietowe i nowe cyklotrony. Wszystko to załadowali na pokład w Syrtis.

Ale wiózł ze sobą na Westę również bandę poszukujących przygód, bogatych młodych ludzi, którzy wierzyli, że lecą na romantyczne polowanie na skarb. Co oni sobie o nim pomyślą, kiedy odkryją, że ich zdradził.

– To jest Westa, nieprawdaż? – odezwał się za jego plecami energiczny dziewczęcy głos, przerywając jego posępne rozmyślania.

Kenniston szybko się odwrócił. To była Gloria Loring, wyglądająca chłopięco w jedwabistym luźnym stroju do podróży w kosmosie, z rękoma wciśniętymi w kieszenie.

Kiedy patrzyła w stronę dalekiej asteroidy, na jej jasnej ślicznej buzi, płonęło naiwne podniecenie, powodujące że wyglądała bardziej jak mała podekscytowana dziewczynka, niż znudzona, obwieszona klejnotami dziedziczka, z tej nocy w Syrtis.

– Tak, to jest właśnie Planeta Tysiąca Księżyców – skinął głową Kenniston. – Dolecimy do niej jutro. Właśnie byłem na mostku, przekazując pani kapitanowi, Wallsowi, informacje o najbezpieczniejszej trasie prowadzącej przez roje meteorów.

Jej ciemne oczy z ciekawością mierzyły go badawczym spojrzeniem.

– Jest pan tutaj, na pograniczu, już od dawna, nieprawda?

– Dwanaście lat – odparł. – Na planetach zewnętrznych, to szmat czasu. Większość wyruszających w kosmos ludzi, nie jest w stanie przetrwać tutaj tak długo. Dopadają ich katastrofy, wypadki, paraliż grawitacyjny.

– Paraliż grawitacyjny? – powtórzyła jego słowa. – Słyszałam, że to straszliwe zagrożenie dla podróżujących w kosmosie. Ale tak naprawdę, to nie wiem co to jest.

– Tu w kosmosie, to najbardziej zdradliwe niebezpieczeństwo – wyjaśnił Kenniston. – To paraliż, który chwyta człowieka, jeśli zbyt często przechodzi od bardzo słabej grawitacji do bardzo silnej, i na odwrót. Blokuje wszystkie mięśnie organizmu, poprzez atak na ośrodki motoryczne w układzie nerwowym.

Gloria wzdrygnęła się.

– To brzmi okropnie.

– Bo takie jest – ponuro odparł Kenniston. – Przez te wszystkie lata, kiedy żeglowałem po zewnętrznych częściach Układu, widziałem dziesiątki moich przyjaciół powalonych przez tę chorobę.

– Nie wiedziałam, że przez ten cały był pan marynarzem na statku kosmicznym – ze zdumieniem powiedziała dziedziczka. – Wydawało mi się, że mówił nam pan, że jest górnikiem meteorowym.

Kenniston uświadomił sobie, że zaliczył lekkie potknięcie. Pośpiesznie zaczął łatać swoją historyjkę:

– Żeby być górnikiem meteorowym, trzeba być dobrym marynarzem, panno Loring. Ma się spory teren do działania.

Na szczęście w tym momencie przerwało im kilku innych młodych ludzi, którzy nadeszli pokładem, żywiołową, rozgadaną grupą.

Ośrodkiem tej grupy był Robbie Boone. Ten pucołowaty, wiecznie błaznujący młody człowiek, który był dziedzicem milionów Atomic Power Corporation, wcisnął się w coś, co jak święcie wierzył, było typowym strojem wśród kosmonautów. Kurtka i luźne spodnie, jakie miał na sobie, uszyte były z czarnego syntetycznego jedwabiu, a u pasa wisiał mu wielki pistolet atomowy.

– Heja, koleś! – z niewinną miną wyszczerzył do Kennistona zęby w szerokim uśmiechu. – Kiedy to nasze wspaniałe pudło wyląduje na Weście?

– Gdybyś tylko wiedział, jak idiotycznie wyglądasz, Robbie – zdruzgotała go Gloria, – kiedy próbujesz się ubierać i mówić jak stary kosmonauta.

– Po prostu mi zazdrościsz – zaperzył się Robbie. – Wyglądam całkiem nieźle, co nie, Kenniston?

Wargi Kennistona lekko drgnęły.

– Gdyby wszedł pan tak na Spotkanie Kosmonautów w Jowopolis, z całą pewnością wywołałby pan niezłą sensację.

Alice Krim, trzpiotowata mała blondynka, z podziwem spojrzała na Kennistona.

– Musiał pan być na strasznie wielu planetach, nieprawda? – westchnęła.

– Wyłącz to, Alice – sucho stwierdziła Gloria. – Pan Kenniston nie zajmuje się flirtami.

Arthur Lanning nadąsany przystojny młodzieniec, który zawsze miał w ręku drinka, wycedził przez zęby:

– Czyżbyś już tego próbowała, Glorio?

Ciemne oczy dziedziczki rozbłysły, ale konieczności udzielenia odpowiedzi, oszczędziło jej pojawienie się pani Milsom. Ta pulchna, roztrzepana kobieta, nominalna opiekunka całej grupy, natychmiast skierowała się w stronę Kennistona, jak zwykle zresztą.

– Panie Kenniston, czy jest pan pewien, że ta asteroida na którą lecimy jest bezpieczna? – spytała go, chyba już po raz setny. – Czy jest tam jakiś dobry hotel?

– Dobry hotel, tutaj? – przez chwilę Kenniston był za bardzo zdziwiony, aby odpowiedzieć.

Przed oczyma stanęły mu obrazy, dzikiej, dusznej dżungli na Planecie Tysiąca Księżyców, oślizgłych stworzeń przemykających się pomiędzy gęstymi liśćmi, szelestów sygnalizujących obecność straszliwych Westan, których nigdy tak do końca się nie widziało, wraku pirackiego statku, wokół którego oczekiwał na nich John Dark i pół setki najbardziej zatwardziałych, wyjętych spod prawa zbirów w Układzie Słonecznym.

– Oczywiście, że nie ma tam żadnego hotelu, Ciotuniu – z niesmakiem stwierdziła Gloria. – Czy nie rozumiesz, że ta asteroida jest niemal niezbadana?

Nadchodził właśnie Holk Or, i wielki Jowianin słyszał całą rozmowę. Wybuchnął huczącym śmiechem.

– Hotel na Weście! To naprawdę dobre!

Kenniston rzucił wielkiemu zielonemu piratowi ostrzegawcze spojrzenie. Robbie Boone już go pytał:

– Czy są tam jakieś dobre miejsca na polowanie?

– Pewnie, że są – oświadczył Holk Or. Jego małe oczka błyszczały od skrywanej wesołości. – Zobaczysz, że znajdziesz tam wiele okazji do przygód, mój chłopcze.

Kiedy pani Milsom wyciągnęła pozostałych na tradycyjnego popołudniowego brydżyka, Jowianin popatrzył za nimi, chichocząc.

– Ta banda kretynów, nigdy nie powinna wyściubiać nosa poza Ziemię. To naprawdę niesamowite, że zdecydowali się polecieć na Westę!

– Oni wcale nie są tacy źli, tak pod spodem – zaprotestował Kenniston, ale sam nie do końca wierzył w swoje słowa. – To tylko kupa nieświadomych niebezpieczeństwa dzieciaków, szukających przygód.

– Eee tam, zaczynasz durzyć się w tej Loring – zadrwił z niego Holk Or. – Lepiej skup się na wykonaniu rozkazów Johna Darka.

Kenniston ostrzegawczo machnął ręką.

– Dosyć tego! Nadchodzi Murdock.

Hugh Murdock szedł po pokładzie, prosto w ich stronę, a kiedy stanął przed nimi, na jego trzeźwej, młodej, przystojnej twarzy malował się wyraz zamyślenia.

– Panie Kenniston, w tej całej sprawie jest coś, czego nie rozumiem – oświadczył.

– Tak? A o co chodzi? – ostrożnie odparł Kenniston.

Był mocno skupiony i czujny. Murdock nie był takim bezmyślnym łatwowiernym dzieciakiem, jak pozostali. Jak Kenniston się dowiedział, pomimo młodego wieku, był już ważnym urzędnikiem w firmie Loring Radium.

Z kpin innych dotyczących Murdocka, oczywiste było, że młody biznesmen przyłączył się do grupy tylko dlatego, że był po uszy zakochany w Glorii. W tym zaciekłym poświęceniu tego, poza tym trzeźwo myślącego młodego człowieka, było coś naprawdę sympatycznego. Jego ewidentna determinacja, aby chronić Glorię przed niebezpieczeństwem, bystra inteligencja, w oczach Kennistona czyniły go niebezpiecznym przeciwnikiem.

– Byłem na dole, w ładowni, żeby przyjrzeć się wyposażeniu, jakie zabrał pan ze sobą – mówił dalej Murdock. – Wie pan, chodzi o ten sprzęt, który mamy wykorzystywać do wykopania wraku statku Darka. I zupełnie tego nie mogę zrozumieć. Tam nie ma żadnych maszyn do kopania, a zamiast nich jest pełno cyklotronów, silników rakietowych i zapasowych płyt kadłubowych.

Kenniston uśmiechnął się, aby zamaskować niepokój, jaki poczuł.

– Proszę się nie niepokoić, panie Murdock. Naprawdę wyposażenie jakie zabrałem, będzie nam potrzebne. Zobaczy pan, kiedy dolecimy na Westę.

Murdock jednak naciskał.

– Ciągle jednak nie rozumiem, do czego to niby miałyby posłużyć nam te maszyny. To wygląda raczej na materiały do remontu statku, a nie sprzęt wydobywczy.

Kenniston pośpiesznie zełgał.

– Cyklotrony posłużą nam jako generatory energii, a silniki i płyty są przeznaczone do budowy ciężkiego dźwigu o dużym udźwigu, do wyciagnięcia wraku z ziemi. Hol Or i ja, wszystko to sobie dobrze przemyśleliśmy.

Murdock zmarszczył brwi, tak jakby odpowiedź nie do końca go przekonywała, ale nie drążył tematu. Kiedy poszedł sobie, aby dołączyć do innych, Holk Or popatrzył za nim z irytacją.

– Ten facet jest za sprytny, żeby wyszło mu to na dobre – wymamrotał Jowianin. – Wyraźnie nabrał podejrzeń. Może lepiej zorganizować mu jakiś mały wypadek?

– Nie, zostaw go w spokoju – ostrzegł Kenniston. – Jeżeli coś mu się teraz stanie, pozostali mogą chcieć wracać do domu. A jesteśmy już niemal na Weście.

Jednak niepokój pozostał, unosząc się cieniem, gdzieś na peryferiach myśli Kennistona. Martwiło go to nawet kilka godzin później, kiedy umownie przyjęty czas pokładowy statku, przyniósł ze sobą „noc”. Siedząc razem z innymi w luksusowej kabinie pasażerskiej statku i trzymając w ręku whisky w wodą sodową, zastanawiał się gdzie może być Hugh Murdock.

Cała reszta grupy Glorii również była tutaj, słuchając z zainteresowaniem graniczącym z fascynacją, kolorowych historii Holka Ora, opowiadających o jego przygodach w dziczy asteroidów. Murdocka jednak nie było razem z nimi, Kenniston z niepokojem zastanawiał się, czy facet znowu nie przeszukuje tego wyposażenia wiezionego w ładowni.

W kabinie pasażerskiej pojawił się młody marynarz z Ziemi, jeden z członków niewielkiej załogi *Sunsprite'a*, i podszedł do Kennistona.

– Pozdrowienia od kapitana Wallsa, sir. Czy mógłby pan udać się na mostek? Kapitan chciałby ponownie skonsultować z panem kurs.

– Pójdę z panem – powiedziała Gloria, widząc wstającego Kennistona. – Lubię mostek. To chyba najciekawsze miejsce na statku.

Kiedy wchodzili po schodach, mijali małe pomieszczenie nadajnika teleaudio, w którym obok operatora stał Hugh Murdock. Uśmiechnął się do Glorii.

– Próbuję odebrać pewne wiadomości z Ziemi, ale zdaje się, że jesteśmy już niemal na granicy zasięgu – oznajmił żałośnie.

– Nigdy nie zapominasz o interesach, co Hugh? – drażniła się z nim dziewczyna. – Masz taką ochotę na przygody, jak gruby pięćdziesięcioletni broker handlujący radem.

Kenniston jednak poczuł pewną ulgę, tym że Murdock najwyraźniej zapomniał już o niezwykłości wiezionego w ładowniach wyposażenia. Kiedy więc weszli na otoczony glasytowymi ścianami mostek, ulżyło mu wyraźnie na duchu.

Kapitan Walls stał w głębi, obok pierwszego pilota, Braya. Pulchny i dobroduszny szyper odwrócił się w ich stronę i uchylił czapki przed Glorią Lanning.

– Przykro mi, że znowu panu przeszkadzam, panie Kenniston – przepraszał. Ale jesteśmy już dosyć blisko Westy, a pan zna ten diabelski region kosmosu dużo lepiej niż ja. Mapy są tak niedokładne, że w zasadzie stały się niemal bezużyteczne.

Kenniston obrzucił doświadczonym okiem panel z przyrządami, a następnie wbił wzrok w rozciągającą się przed nimi przestrzeń. *Sunsprite* leciał teraz stałym kursem przez rozgwieżdżone przestworza, w których skłębione masy różnego rodzaju punkcików świetlnych, tworzyły panoramę zupełnie dezorientującą dla oczu laika.

Wydawało się, że żadna z tych jaśniejących iskierek nie znajduje się w ich pobliżu. A jednak co kilka minut na panelu z przyrządami rozbłyskiwały czerwone światełka i dźwięczały brzęczyki. Po każdym takim alarmie meteorometrów, pilot szybko spoglądał na ustawienia kursu i dotykał przepustnic silników rakietowych, lekko zmieniając kierunek. Krążownik przebijał się przez niewidoczne, ale niesamowicie niebezpieczne roje pędzących meteorów i mrowie stłoczonych asteroid.

Westa stała się już jasnym, bladozielonym dyskiem, podobnym do małego Księżyca. Jej tarcza nie wisiała prosto przed nimi, ale wyraźnie po lewej stronie. Krążownik nie mógł lecieć kursem bezpośrednim, ponieważ musiał okrążyć w bezpiecznej odległości jeden z większych rojów meteorów, orbitujących od strony Marsa.

– Co pan o tym myśli, panie Kenniston, czy zmiana kursu prosto na Westę, będzie teraz już bezpieczna? – z niepokojem zapytał go kapitan Walls. – Według moich obliczeń na mapie, nie ma już żadnych nowych rojów, które znajdowałyby się obecnie w tym regionie.

Kenniston parsknął zirytowany.

– Wszystkie mapy sporządzają szczury planetarne. Jest jeszcze jeden mały rój, który kryje się za tym wielkim, Nr 480, który właśnie oblatujemy. Proszę mi pozwolić usiąść przy optyce, to spróbuję go zlokalizować.

Kenniston rozpoczął uważne poszukiwania, przy użyciu meteoroskopów, których czułe wiązki elektromagnetyczne mogły sięgać daleko w przestrzeń, gdzie odbijał je każdy skrawek materii. W końcu udało mu się wykonać zadanie.

– W porządku, znacznik roju jest po drugiej stronie Nr 480 – oznajmił. – Tak więc teraz możemy już bezpiecznie ruszać prosto w stronę Westy.

Niepokój kapitana został uśmierzony jedynie częściowo.

– Ale kiedy dolecimy do asteroidy, co wtedy? W jaki sposób przedostaniemy się przez roje otaczających ją satelitów?

– Mogę was przez nie bezpiecznie przeprowadzić – zapewnił go Kenniston. – W tych rojach są pewne okresowe przerwy, spowodowane zaburzeniami grawitacyjnymi w oddziaływaniach pomiędzy orbitującymi meteorami-księżycami. Wiem w jaki sposób je znaleźć.

– A więc, obudzę pana jutro wcześnie „rano”, zanim dolecimy do Westy – obiecał kapitan Walls. – Wolałbym samemu nie przedzierać się przez ten gąszcz.

– A więc rano już tam dolecimy? – zawołała Gloria z entuzjastycznym zachwytem. – Ile czasu zajmie nam potem odnalezienie wraku pirackiego statku?

Kenniston ze skrępowaniem zbył pytanie.

– Nie wiem… to nie powinno zbyt długo potrwać. Będziemy mogli wylądować w dżungli w pobliżu wraku.

Ich entuzjastyczny zapał, powiększał jeszcze dręczące go poczucie winy. Gdyby ona oraz jej towarzysze wiedzieli tylko, co miał im przynieść następny dzień!

Nie czuł się na siłach, aby stanąć teraz przed całą grupą, tak więc po powrocie z mostka, zaczął włóczyć się po ciemnym pokładzie. Gloria została razem z nim, zamiast wejść do kabiny.

Stanęła i przyglądała mu się, a światło gwiazd z przeźroczystej burty pokładu, padało na jej młodą twarz.

– Ma pan strasznie zmienne usposobienie, wie pan – lekkim tonem oznajmiła Kennistonowi. – Czasami zachowuje się pan niemal po ludzku, a po chwili staje się pan znowu zamknięty w sobie i ponury.

Kenniston wbrew sobie uśmiechnął się. W jej głosie zabrzmiał cień żartobliwego zaskoczenia.

– O proszę, a więc potrafi pan nawet się uśmiechać! Nie wierzę własnym oczom.

Jasna, młoda twarz dziewczyny znalazła się prowokacyjnie blisko, nozdrza wypełnił mu lekki zapach jej ciemnych włosów. Zdawał sobie sprawę, że ewidentnie z nim flirtuje, być może przede wszystkim z ciekawości.

Oczekiwała, że ją pocałuje, to również wiedział. Do diabła, może przecież ją pocałować! Zrobił więc to, na wpół ironicznie. Ale ironiczne rozbawienie jakoś uleciało z jego myśli, pod dziwnie nieśmiałym dotknięciem jej miękkich warg.

– Na Boga, jesteś tylko dzieckiem – wymamrotał. – Małym dzieckiem kryjącym się pod maską znudzonej, wyrafinowanej młodej damy.

Gloria zesztywniała z gniewu.

– Nie bądź głupi! Całowałam się już z mężczyznami. Ja tylko chciałam zobaczyć, jaki naprawdę jesteś.

– No i, co takiego odkryłaś?

Jej głos zmiękł.

– Dowiedziałam się, że nie jesteś taki ponury, na jakiego wyglądasz. Myślę, że po prostu jesteś samotny.

Prawda tego stwierdzenia wywołała u Kennistona grymas na twarzy. Tak, był całkiem samotny, pomyślał trzeźwo. A wszyscy jego starzy przyjaciele z kosmosu, odchodzili jeden po drugim…

– Czy nie masz nikogo? – ze zdumieniem spytała go Gloria.

– Nie mam rodziny, poza moim małym bratem, Rickym – odparł ciężkim głosem. – A większość z moich towarzyszy z kosmosu jest albo martwych, albo jeszcze gorzej… złapał ich w swoje szpony paraliż grawitacyjny.

Wspomnienie tych starych towarzyszy, odbudowało chwiejne zdecydowanie Kennistona. Nie wolno mu ich zawieść! Musi doprowadzić do końca tę dostawę ładunku krążownika Johnowi Darkowi, i do diabła z konsekwencjami.

Odsunął dziewczynę od siebie, niemal szorstko.

– Robi się już późno. Lepiej połóż się spać, tak jak inni.

Później jednak, leżąc już w koi, w małej kabinie jaką dzielił z Holkiem Orem, Kenniston stwierdził, że wspomnienie Glorii nie pozwala mu zasnąć. Nie mógł wyrzucić z głowy tego nieśmiałego dotknięcia jej warg. Co ona sobie jutro o nim pomyśli?

W końcu usnął. Kiedy się obudził, uświadomił sobie, że ktoś właśnie wymówił ostrym tonem jego nazwisko. Rozespany zdawał sobie niewyraźnie sprawę, że musi być już „rano”, i początkowo pomyślał, że kapitan Walls wysłał kogoś, aby go obudził.

Potem, jednak zesztywniał, widząc kto go wyrwał ze snu. To był Hugh Murdock. Chłodna twarz młodego biznesmena, była w tej chwili bardzo ponura. Stał w wejściu do kabiny z ciężkim pistoletem atomowym w ręku.

– Wstawaj i ubieraj się, Kenniston – groźnie powiedział Murdock. – I obudź też swojego koleżkę, pirata. Jeśli któryś z was zrobi choćby jeden fałszywy ruch, zabiję was obydwu.

Rozdział 3
Przez orbitujące meteory

Kennistona zmroziła konsternacja. W otępieniu powtarzał sobie w myśli, że to zupełnie niemożliwe, żeby Hugh Murdock mógł odkryć prawdę. Ale ponura mina na twarzy Murdocka i nieskrywana nienawiść w jego oczach, nie dały się wyjaśnić w żaden inny sposób.

Palec młodego biznesmena, przez cały czas pewnie spoczywał na spuście pistoletu atomowego. Opór był zupełnie bezsensowny. Kenniston mechanicznie zsunął się ze swojej koi i naciągnął na siebie spodnie oraz kosmiczną kurtkę. Holk Or robił to samo, a widoczny na pokiereszowanej zielonej twarzy wielkiego Jowianina, wyraz zaskoczenia był niemal zabawny.

– A teraz może powie nam pan, co to wszystko ma znaczyć – szorstko oznajmił Kenniston, a przez głowę galopowały mu setki myśli. – Czy postradał pan rozum?

– Właśnie go odzyskałem, Kenniston – wyrzucił z siebie Murdock. – Jacy z nas byli głupcy, że nie domyśliliśmy się, że wy dwaj należycie do bandy piratów Darka!

Wargi Kennistona zacisnęły się mocno. Teraz było już jasne, że Murdock faktycznie coś odkrył. Od strony Holka Ora doleciał gniewny ryk.

– Diabły Plutona, nie jestem żadnym piratem! – wielki Jowianin łgał naprawdę perfekcyjnie. – Skąd pan wpadł na ten szalony pomysł?

Twarda twarz Murdocka nie odprężyła się. Pokiwał pistoletem atomowym.

– Dalej, do głównej kabiny – rozkazał. – Idziecie przede mną.

Bezradni Kenniston i Holk Or, wykonali polecenie. Kiedy przytłoczony szedł korytarzem, w jego głowie narastała desperacja. Łoskot silników rakietowych, wskazywał na to, że *Sunsprite* ciągle pędził przez przestrzeń. Do tej pory musieli być już bardzo blisko Westy… I właśnie teraz, to musiało się przytrafić!

Hałas obudził pozostałych i ruszyli ławą do głównej kabiny, za Murdockiem i jego dwoma więźniami. Kenniston pochwycił spojrzenie Glorii, wyglądającej zwiewnie, w jedwabistym negliżu, której czarne oczy robiły się coraz bardziej okrągłe ze zdumienia.

– Hugh, czy ty oszalałeś? – zawołała oszołomiona.

Murdock odpowiedział, nie odwracając wzroku w jej stronę.

– Odkryłem prawdę, Glorio. Ci dwaj ludzie należą do załogi Johna Darka. Prowadzili nas prosto w pułapkę.

– Święty Boże! – wysapał Robbie Boone. Pucołowaty młodzieniec ze zwisającą szczęką gapił się na Kennistona i Holka Ora. – Oni są piratami?

– Chyba musiałeś stracić rozum – Gloria wsiadła na Hugha Murdocka. – To po prostu śmieszne.

Holk Or ziewnął przekonująco.

– Choroba przestrzenna dopada ludzi w różny sposób, panno Loring – powiedział Jowianin do Glorii porozumiewawczym tonem. – Czasami wywołuje tylko mdłości, ale u niektórych powoduje delirium.

– Nie mam żadnego delirium i wy dwaj dobrze o tym wiecie – ponuro odparł Murdock. Mówił dalej, do Glorii i pozostałych, nie odrywając oczu od dwójki więźniów, ani spuszczając z nich muszki pistoletu.

– Od początku myślałem, że ta historyjka Kennistona, o odnalezieniu wraku statku Darka na Weście, była dosyć wątła – oznajmił Murdock. – A wczoraj moje podejrzenia jeszcze się wzmogły, kiedy zszedłem na dół i obejrzałem sobie w ładowni wyposażenie, jakie ze sobą zabrali. To nie jest sprzęt nadający się do wykopywania pogrzebanego wraku. To wyposażenie do *naprawy* zniszczonego statku… statku Johna Darka!

– Podejrzewając to, ostatniej nocy wysłałem teleaudiogram do kwatery głównej Patrolu, na Ziemi. Przekazałem pełen opis Kennistona i Jowianina i zapytałem czy są notowani w aktach kryminalnych. Godzinę temu nadeszła odpowiedź. Ten facet, Holk Or, ma kartotekę pirackich wyczynów grubą na rozstaw obu rąk, i definitywnie znany jest jako jeden z członków szajki piratów Darka!

Od strony pozostałych doleciały niedowierzające westchnienia. Murdock ciągle z ponurą miną obserwował Kennistona i Jowianina, kończąc swoją relację.

– Patrol nie przesłał jeszcze rejestrów Kennistona, ale to dosyć oczywiste, że on również musi być jednym z ludzi Darka, a ta historyjka, o tym, że razem z Jowianinem są górnikami meteorowymi, to wierutne łgarstwo.

– Nie mogę tego zrozumieć – wymamrotał młody Arthur Lanning, wpatrując się w nich. – Jeżeli oni są ludźmi Darka, to dlaczego chcieli nas namówić, żebyśmy polecieli na Westę?

– Nie rozumiesz? – odparł Hugh Murdock. – Statek Johna Darka, po tym jak został uszkodzony, rozbił się na Weście — ta część historyjki musiała nawet być prawdą. Ale Dark i jego piraci wcale nie zginęli, tak jak to myślał Patrol. Musieli zdobyć maszyny i materiały do naprawy swojego statku. A więc Dark wysłał tych dwóch ludzi na Marsa, po te materiały. A oni nie mogli tam w żaden inny sposób zdobyć statku, tak więc zaplanowali wykorzystanie naszego krążownika, sprzedając nam te bzdury o skarbie.

Kenniston skrzywił się lekko. Wiedział już, że nie docenił Murdocka, który, po powzięciu podejrzeń, bardzo szybko poskładał razem wszystkie fakty.

Gloria Loring, przyglądająca się Kennistonowi szeroko otwartymi ciemnymi oczyma, dostrzegła tę przelotną zmianę wyrazu jego ust. Na jej bladej twarzy, pojawiła się nieufność zmieszana z obrzydzeniem.

– A więc to prawda – wyszeptała. – Zrobiłeś to… umyślnie zaplanowałeś schwytanie nas wszystkich?

– Cholera, wszystkim wam choroba próżniowa uderzyła do głowy – warknął Holk Or, blefując do końca.

Murdock rzucił przez ramię do tyłu:

– Robbie, wezwij kapitana Wallsa.

– Nie ma takiej potrzeby, właśnie do nas idzie! – zawołał rozgorączkowany młodzieniec.

Kapitan Walls, wchodząc pośpiesznie do kabiny, w pierwszej chwili zauważył tylko stojącego Kennistona.

– Ach, tutaj pan jest, panie Kenniston – zawołał z ulgą kapitan. – Właśnie po pana przyszedłem. Zbliżamy się do Westy! Rozkazałem pilotowi żeby zwolnił, ponieważ chciałem, żeby to pan przeprowadził nas przez rój…

Głos kapitana zamarł mu w gardle. Wytrzeszczył szeroko oczy, ponieważ po raz pierwszy dostrzegł, że Murdock trzyma obu mężczyzn pod bronią.

– Nie lecimy na Westę, panie kapitanie – miarowym głosem oznajmił Murdock. – Na asteroidzie są John Dark i jego piraci. *Żywi*!

Pulchna twarz kapitana Wallsa pobladła, kiedy usłyszał nazwisko najstraszniejszego korsarza w Układzie Słonecznym.

– Dark… żywy? – z trudem wyjąkał. – Dobry Boże, to musi być jakiś żart!

Pani Milsom, której przysadziste ciało trzęsło się, a zęby szczękały ze strachu, wskazała palcem na Kennistona i Jowianina.

– Ci dwaj to piraci! – pisnęła. – Mogli nas wszystkich wymordować we śnie! Wiedziałam, że coś takiego z pewnością się wydarzy, kiedy opuścimy Ziemię…

Umysł Kennistona wrzał z rozpaczy, podczas kiedy stał tam z uniesionymi rękoma. Jego cały desperacki plan miał być unicestwiony, niemal w ostatniej chwili.

Nie mógł pozwolić na jego zniszczenie! Musiał dostarczyć ten ładunek maszyn i materiałów Johnowi Darkowi, nawet gdyby miało go to kosztować życie!

– Proszę natychmiast zawrócić na Marsa, panie kapitanie – cicho oznajmiła Gloria oszołomionemu oficerowi. Jej twarz ciągle była blada jak śmierć.

Kenniston stojąc wyprostowany, wpadł na pewien pomysł. Szansa na powodzenie była raczej desperacka, w świetle broni atomowej Murdocka.

Kapitan mówił, że właśnie polecił pilotowi zmniejszyć szybkość *Sunsprite'a*. Za chwilę powinni poczuć wstrząs odpalanych dziobowych silników hamujących…

Wstrząs nadszedł moment później, sekundę po tym jak przez głowę Kennistona przemknął szalony plan działania. To była jedynie nieprzyjemna wibracja poszycia statku, ponieważ pilot znał się na rzeczy.

Spowodowała ona, że zachwiali się na nogach, tylko przez mgnienie oka. Ale Kenniston czekał na tę chwilę. Kiedy Hugh Murdock mimowolnie ruszył lekko ręką, w której trzymał broń, tylko po to, aby złapać równowagę, Kenniston rzucił się do przodu.

– Mostek, Holk! – wrzasnął, lecąc w powietrzu.

Ramię Kennistona uderzyło kapitana, popychając go na Murdocka. Obaj mężczyźni polecieli na pokład.

Holk Or, wykazując błyskawiczną orientację, już otworzył drzwi do kabiny. Obydwaj razem zanurkowali w głąb korytarza.

– Naszą jedyną szansą jest dostanie się na mostek i przejęcie sterów! – krzyknął Kenniston, kiedy biegli korytarzem. – Musimy utrzymać ich z dala na tyle długo, by wylądować na Weście.

Syk... błysk! Trzeszczące wyładowanie z pistoletu atomowego rozerwało dolne szczeble drabinki, po której on i Jowianin wspinali się w szaleńczym tempie. Murdock wybiegł za nimi z kabiny i wystrzelił, a wszędzie dokoła rozlegały się okrzyki alarmu.

Kenniston i Holk Or wpadli na otoczony glasytowymi ścianami mostek. Bray, pilot, odwrócił się na chwilę z zaskoczeniem, od swoich sterów i przepustnic silników rakietowych.

Za postacią pilota, przezroczysta przednia ściana obramowywała kwadrat czarnej przestrzeni, w której na pierwszym planie przytłaczała ogromem monstrualna kula pobliskiej asteroidy.

Planeta Tysiąca Księżyców! Wyłaniała się w odległości zaledwie kilkuset mil od nich, wielki, bladozielony glob, okrążany przez ogromny sferyczny rój tysięcy błyszczących, małych meteorów orbitalnych.

– Ale… co… – wyjąkał oszołomiony pilot.

Pięść Kennistona trafiła go w podbródek i mężczyzna zwalił się na podłogę.

– Zablokuj drzwi, Holk! – krzyknął Kenniston i skoczył w stronę przepustnic silników.

– Psiakrew, tu jest tylko klamka! – zaklął Jowianin. Naprężył swoje muskularne ramiona, dopychając metalowe drzwi. – Przez chwilę powinno mi się udać to utrzymać.

Ręce Kennistona błyskawicznie chwyciły przepustnice. *Sunsprite* leciał ze zredukowaną szybkością w kierunku otoczonej przez meteory asteroidy.

Otworzył przepustnice wszystkich rufowych rakiet i krążownikiem wstrząsnął potężny ryk silników i uderzenie ciągu. Ruszył wyraźnie szybciej w stronę śmiertelnie niebezpiecznego roju, kłębiącego się wokół Westy, z każdą chwilą nabierając prędkości.

W reakcji na niebezpieczny wzrost przyśpieszenia, mały statek zaczął kołysać się, skrzypieć i drżeć, ale Kenniston utrzymywał pełny ciąg naprzód. Pod pomieszczeniem mostka rozległy się hałasy i walenie o drzwi.

– Otwierać te drzwi, albo je przepalimy! – dobiegł do nich głos kapitana Wallsa.

Kenniston nawet się nie odwrócił. Pochylony nad sterami, w napięciu spoglądał przed siebie, w pełnym skupieniu oceniając szybkość i kierunek lotu. Jego oczy szaleńczo poszukiwały okresowych przerw w powłoce meteorów.

Rozległy się stłumione trzaski i pomieszczenie mostka zalał zapach topiącego się metalu. Od strony Holka Ora dobiegł ochrypły okrzyk bólu.

– Trafili mnie w ramię przez drzwi, niech ich diabli! – Zaklął Jowianin. – Kenniston, pośpiesz się!

Kenniston prowadził *Sunsprite* na pełnej szybkości w kierunku kłębowiska meteorów, krążących wokół asteroidy. Dostrzegł właśnie przerwę w chmurze, okresową szczelinę, wywołaną przez oddziaływanie grawitacyjne któregoś z pobliskich asteroidów.

To nie była prawdziwa szczelina. To był zaledwie niewielki obszar w roju, w którym warstwa pędzących meteorów nie była taka gruba, i gdzie statek miał szansę prześlizgnąć się do środka, dzięki bardzo uważnemu pilotażowi.

Kenniston jedynie gdzieś w oddali słyszał, że Holk Or ciągle utrzymuje drzwi, walcząc z potężnymi uderzeniami kłębiącego się na zewnątrz tłumu. Jego umysł był całkowicie skoncentrowany na rozpaczliwie precyzyjnych manewrach, wykonywanych w danej chwili.

Zredukował szybkość i skierował *Sunsprite'a* w rzadszy obszar roju meteorów. Kosmos wokół niego zdawał się teraz kotłować od pędzących jasnych małych księżyców.

Meteorometry kompletnie oszalały, nieustannie sygnalizując migotaniem i brzęczkami kolejne ostrzeżenia. Wskazówki detektorów kierunkowych kręciły się we wszystkie strony. Przyrządy były tutaj bezużyteczne, musiał lecieć kierując się wyłącznie wzrokiem. Przeciskał się krążownikiem przez rój na coraz niższą wysokość, jego palce tańczyły na przepustnicach, posyłając krótkie uderzenia ciągu, zwijając się wokół jasnych, pędzących meteorów.

– Pośpiesz się! – ponownie ochrypłym głosem wrzasnął Holk Or, przekrzykując tumult. – Nie dam rady… ich już długo powstrzymać…

Sunsprite schodził coraz niżej i niżej, przebijając się przez labirynt orbitujących meteorów, zwijając się w skrętach, i nieustannie zmierzając w dół, w kierunku zielonej asteroidy.

Ostatni okrzyk, wydyszany przez Holka Ora, i drzwi trzasnęły, wylatując z przepalonych zawiasów. Kenniston który nawet na chwilę nie mógł odwrócić wzroku od śmiertelnie niebezpiecznego pilotażu przez rój, słyszał jedynie szaleńczo walczącego Jowianina.

W następnej chwili czyjaś ręka chwyciła Kennistona za ramię i odciągnęła go od sterów. To był Murdock, który wpadł na mostek z ogniem w oczach i bronią w ręku.

– Ręce do góry, albo cie zabiję, Kenniston! – krzyczał.

– Puszczaj mnie! – wrzasnął Kenniston, usiłując się wyrwać i wrócić za stery. – Ty *głupcze*!

Zobaczył tylko jak postrzępiona skała, pędząca skośnie w ich stronę, od lewej strony, nagle urosła do monstrualnych rozmiarów.

Trzask! Wstrząs zwalił ich z nóg, a *Sunsprite* zawirował szaleńczo w kosmosie. Rozległo się mrożące krew w żyłach wycie powietrza, uciekającego z przedniej części statku, i łup-łup-łup zamykających się tam grodzi automatycznych.

Cały dziób krążownika został rozbity i zgnieciony przez ukośne uderzenie meteoru. Teraz, o ironio, statek spadał przez obszar wolny od meteorów, ponieważ Kenniston przed

uderzeniem przeprowadził go niemal przez cały rój. *Sunsprite* jednak nieuchronnie spadał na dół, kręcąc się wokół własnej osi i nurkując w stronę zielonej powierzchni porośniętej dżunglą asteroidy.

– **M**ój Boże, zostaliśmy trafieni! – usłyszeli cienki pisk kapitana Wallsa.

– To twoja wina! – Murdock ryczał na Kennistona. – Wy przeklęci piraci, umrzecie za to!

– Pozwólcie mi zasiąść za sterami, albo za pięć minut wszyscy umrzemy! – zawołał Kenniston. – Rozwalimy się w drobiazgi, jeżeli wyląduję przy użyciu silników ogonowych…

Nie zważając na broń w rękach Murdocka, skoczył do sterów. Jego dłonie przebiegły po przepustnicach, desperacko odpalając rufowe silniki rakietowe, szybkimi uderzeniami ciągu. Próbował wyciągnąć ich z ruchu wirowego, w który wpadli po uderzeniu.

Rakiety hamujące na dziobie zostały zniszczone. Statek był okaleczony, niemal niemożliwy do pilotowania. A ciemne, zielone dżungle na powierzchni Westy pędziły w górę z przerażającą szybkością.

Szaleńcze wysiłki Kennistona wyciągnęły *Sunsprite'a* z ruchu wirowego. Ciągiem silników bocznych, ustawił i utrzymywał spadający statek ogonem do dołu.

– Jesteśmy zgubieni – wrzasnął ktoś w głębi statku. – Rozbijemy się!

Na zewnątrz lecącego na dół statku, wyło powietrze. Kenniston z nadludzkim spokojem trzymając dłonie na przepustnicach silników, mechanicznie ocenił odległość do pędzącej w górę zielonej dżungli.

Dostrzegł w dżungli małe czarne jezioro, a w jego pobliżu duży okrąg elektrycznej palisady. Rozpoznał go. To obóz Johna Darka!

Wtedy, tysiąc stóp ponad dżunglą, ręce Kennistona szarpnęły przepustnice, otwierając je do końca. Rakiety ogonowe wyrzuciły w dół strugi ognia.

Szaleńczy wstrząs nagłego hamowania, niemal odrzucił go od sterów. Jego ręce z szybkością błyskawic strzelały po przepustnicach w tą i z powrotem, kontrolując dalsze opadanie statku, przy pomocy jednego szybkiego uderzenia ciągu po drugim.

Odgłos łamanych gałęzi… oszołamiający wstrząs boczny, który zwalił go z nóg. Zgrzyt uderzenia, a potem cisza. Wylądowali.

Rozdział 4
Westanie

Kenniston podniósł się, stając chwiejnie na nogach. Wstrząs porozrzucał pozostałe osoby obecne na mostku, po ścianach i podłodze, ale wszyscy wydawali się być jedynie potłuczeni. Holk Or ochraniał swoją poparzoną rękę. Ale pistolet atomowy chwiejącego się w kącie Hugha Murdocka ciągle celował w Kennistona i Jowianina.

– Mój Boże, co za lądowanie! – zawołał kapitan Walls, a z jego pulchnej plaży nie zeszła jeszcze bladość. – Myślałem, że już po nas.

– Być może ciągle tak jest – ponurym głosem stwierdził Murdock. Zapalczywie rzucił w stronę Kennistona: – Myślisz sobie, że wygrałeś, co? Bo udało ci się rozbić nas na tej asteroidzie, na której czeka twój koleżka, herszt piratów?

– Posłuchaj, Murdock… – zaczął desperacko Kenniston.

– Podnoś łapy do góry, albo zabiję was obu! – zapłonął gniewem Murdock. – Jazda na dół, do głównej kabiny.

Kenniston i Jowianin posłuchali bez szemrania. *Sunsprite* stał ostro przechylony na jedną stronę i zejście na dół do dużej kabiny głównej, po nachylonych przejściach i pokładach, nie było łatwe.

W kabinie panowało spore zamieszanie, ponieważ na skośnej podłodze nie dało się prosto stanąć. Młody Arthur Lanning leżał ogłuszony, a Gloria Loring wraz z wystraszoną blondynką, Alice Krim, obmywały mu rozbite czoło. Robbie Boone wyglądał rozbieganym wzrokiem przez iluminator na rozświetlony słońcem gąszcz zielonej dżungli. Z gardła pani Milsom wydobywało się ostre, nieprzerwane łkanie zgrozy.

– Niech pani przestanie skrzeczeć – brutalnie przerwał pulchnej wdowie Murdock. – Nic się przecież pani nie stało. Gloria, czy reszta z was czuje się dobrze?

Gloria uniosła bladą twarz, odrywając się od pracy.

– Jesteśmy tylko poturbowani, Hugh.

Mówiąc to nawet nie spojrzała na Kennistona, ani na wielkiego Jowianina.

Robbie Boone zaczął szczękać zębami.

– Murdock, i co my teraz zrobimy? Rozbiliśmy się na tej piekielnej, pokrytej dżunglą asteroidzie…

Murdock nie poświęcił pucołowatemu młodzieńcowi najmniejszej uwagi. Do kabiny weszli kapitan Walls, Bray i czterech marynarzy. Kapitan i pilot mieli u pasa pistolety atomowe.

Pulchna twarz kapitana Wallsa była jeszcze bardziej blada, niż przedtem.

– Dwóch ludzi z załogi nie żyje, a nasze teleaudio zostało rozbite przez ten meteor – oznajmił. Skoczył w stronę Kennistona. – Ty cholerny piracie! To ty jesteś za to odpowiedzialny!

– Krążownik nie zostałby trafiony, gdybyście nie odciągnęli mnie od sterów – bronił się Kenniston. – A ja nie jestem żadnym piratem…

Murdock przerwał mu.

– Tymi dwoma zajmiemy się później – uspokoił rozwścieczonego kapitana. – Teraz musimy wydostać się ze statku. Nie możemy w nim zostać, chyba ze uda nam się postawić go na równej stępce.

Holk Or wyhuczał ostrzeżenie.

– Lepiej bądźcie ostrożni z tym wychodzeniem na zewnątrz. W tych dżunglach roi się od Westan.

– Nie życzę sobie żadnych rad od waszej dwójki, wy piraci! – wybuchnął kapitan. – Bray, pan i Thorpe, proszę trzymać ich przez cały czas pod bronią.

Ciężkie główne wrota statku zostały otwarte. Do środka wpadło białe światło słoneczne i ciepłe, parne powietrze, przesiąknięte zapachami roztaczanymi przez dziwne, egzotyczne rośliny. Na zewnątrz rozciągała się poszarpana pusta przestrzeń, którą wyrwał w dżungli spadający statek.

Kapitan Walls dopilnował, aby wszyscy założyli ciężkie, buty o ołowianych podeszwach, które miały skompensować słabsze przyciąganie. Potem zeszli ze statku, razem z młodym Lanningiem, podtrzymywanym przez Murdocka i Robbiego. Kenniston i Jowianin wychodzili na końcu, pod uważnym nadzorem uzbrojonych strażników.

Załoga i pasażerowie przyglądali się statkowi i okolicy ze zdumieniem i przestrachem. Srebrzysty kadłub *Sunsprite'a*, stał niezgrabnie przechylony na bok. Symetryczny kształt torpedy, obecnie był mocno zniekształcony przez zniszczony i wgnieciony dziób.

W wyblakłym świetle słonecznym, wszędzie wokół nich wznosiły się smukłe drzewa, których ogromne zielone liście wyrastały bezpośrednio z pni. Ten groteskowy las wyglądał na jeszcze gęstszy niż był, dzięki girlandom poskręcanych wężowych lian, dziwacznych, pozbawionych korzeni pnączy, które pełzły jak roślinne węże z jednego drzewa na drugie. Każdy podmuch wiatru powodował opadanie z drzew białego prysznica pyłu z zarodników.

Kilka żywych stworzeń, widocznych pośród tego odpychającego krajobrazu, było równie obcych. Wielkie białe szczury meteorowe przeciskały się przez gąszcze na swoich ośmiu łapach. W wyższych partiach dżungli, pomiędzy liśćmi, pędziły jak smugi ognia, fosforyzujące płomieniste ptaki. Na rozciągającym się w górze bladym niebie, widać było niekończące się rozbłyski i potoki światła, powodowane przez meteory roju orbitalnego, odbijające promienie słoneczne.

– Co za okropnie miejsce! – pisnęła pani Milsom. – Wszyscy tutaj zginiemy… nigdy nie wrócimy na Ziemię. Byłam pewna, że tak to się to skończy!

– To z pewnością kiepskie miejsce na to aby się rozbić – wymamrotał kapitan Walls. – Bóg wie, jakie dziwne stworzenia tutaj żyją, nie mówiąc już o tych tajemniczych Westanach, o których wszyscy tyle mówią. A jeszcze gdzieś tu czai się John Dark i jego ludzie. W dodatku teleaudio zostało zniszczone i nie możemy wezwać pomocy.

Kenniston uświadomił sobie w tej chwili, że kiedy spadali, nikt z pozostałych nie zauważył obozu Johna Darka. Nie wiedzieli więc, że obozowisko piratów znajduje się w odległości jedynie kilku minut drogi przez dżunglę.

– Co więc robimy, panie kapitanie? – zapytała Gloria, jej twarz była ciągle blada, ale głos całkiem pewny. – Czy możemy stąd odlecieć?

Kapitan Walls wyglądał na zupełnie bezradnego.

– Nie możemy stąd wystartować, z tym dziobem *Sunsprite*, całym wgniecionym do środka.

– Możemy go przecież naprawić, czy nie? – zasugerował Murdock. – Proszę pamiętać, że w ładowni mamy cały ładunek maszyn i materiałów, które ten pirat Kenniston zabrał do naprawy statku Darka. Czy nie możemy użyć tego wyposażenia?

Wyglądało, że kapitan nabrał nieco nadziei.

– Być może uda nam się to zrobić. Bray, marynarze i ja, może zdołamy dokonać prowizorycznych napraw, łatając dziób i instalując na nim nowe silniki rakietowe. Musimy jednak pracować szybko, żeby uciec stąd, zanim szajka Darka dowie się, że tu jesteśmy.

Wskazał oskarżycielsko na Kennistona.

– Lepiej zamknijmy gdzieś tego gościa i jego wspólnika, tak byśmy byli pewni, że nie wyślą jakiegoś sygnału do swoich koleżków piratów.

Kenniston ponownie próbował wyjaśnić.

– Czy w końcu mnie wysłuchacie? Mówię wam, że nie jestem żadnym piratem!

Murdock zmierzył go surowym spojrzeniem.

– Czy zaprzeczysz temu, że John Dark wysłał cię na Marsa po materiały i sprzęt do napraw, i że opowiedziałeś nam tę bajeczkę o skarbie, aby przywieźć to wszystko tutaj naszym statkiem?

– Nie, nie mogę temu zaprzeczyć – przyznał Kenniston. – Ale nie jestem jednym z piratów Johna Darka… i nigdy nim nie byłem! Byłem więźniem na jego statku. Piraci mnie złapali zanim sami zostali zaatakowani przez Patrol.

– I myślisz, że my w to uwierzymy? – z powątpiewaniem stwierdził Murdock.

– Ale to prawda! – upierał się Kenniston. – Mój mały brat Ricky i ja zostaliśmy schwytani przez ludzi Johna Darka, kilka tygodni temu. Byliśmy więźniami na jego statku, kiedy został zniszczony przez Patrol. Potem kiedy wrak zdryfował tutaj, na Westę, Dark chciał wysłać kogoś na Marsa po sprzęt naprawczy. Nie mógł wysłać żadnego ze swoich oficerów, ponieważ bał się, że wystawiliby go do wiatru i nigdy nie wrócili.

– A więc wysłał z tą sprawą mnie, swojego więźnia. Holk Or poleciał ze mną, żeby pomóc mi w nawigacji statkiem w drodze powrotnej. A ja musiałem wykonać polecenia Darka, i za wszelką cenę przywieźć tutaj to wyposażenie. Ponieważ Dark zostawił sobie jako zakładnika, mojego brata, Ricky'ego, i zapowiedział mi, że jeśli nie wrócę z materiałami, Ricky zostanie zastrzelony!

Holk Or głośno potwierdził:

– To, co powiedział wam Kenniston, to prawda – zahuczał głos Jowianina. – Jeśli chodzi o mnie, to jestem jednym z piratów Darka, i zupełnie mnie nie obchodzi, kto o tym wie, i co o tym sądzi. Kenniston jednak robił to tylko po to, aby uratować swojego brata.

– Nie wierzę w to – stanowczo oświadczył kapitan Walls. – To kolejne z tych gładkich kłamstw, jakie ten człowiek wygłasza tak łatwo.

Gloria ciągle spoglądała na Kennistona oskarżycielskim wzrokiem. Powiedziała:

– Jeśli to co powiedziałeś jest prawdą, i nie jesteś piratem, to zwabiłeś nas w pułapkę, po prostu tylko dlatego, aby uratować swojego brata?

Kenniston spoglądał na nią żałośnie.

– Tak, zrobiłem to. Chciałem doprowadzić do waszego schwytania, aby ratować Ricky'ego. Miałem jednak powody…

– Pewnie, że miałeś powody – gorzko stwierdził Murdock. Co znaczy dla ciebie bezpieczeństwo grupy jakichś obcych ludzi, w porównaniu z twoim cennym bratem!

Kapitan Walls gniewnie kiwnął ręką na Kennistona i Holka Ora, wskazując w stronę statku.

– Bray, weź ich stąd i zamknij pod strażą w kabinie – rozkazał.

Holk Or nagle wrzasnął:

– Uważajcie! Tam jest Westanin!

Kenniston, któremu alarmujący okrzyk zmroził krew w żyłach, spojrzał we wskazywane przez Jowianina miejsce. Na zachodnim skraju pustej przestrzeni, z gęstej zielonej dżungli wyłoniło się małe zwierzę.

Było to sześcionożne, pasiaste, podobne do kota stworzenie, nie wyglądające specjalnie niezwykle, przynajmniej jeśli chodzi o zwierzęta z innych planet. Jego łeb wydawał się być

jednak jakiś dziwny, wyglądało jakby miedzy uszami zwierzęcia spoczywała przyczepiona bulwiasta szara masa.

Kapitan Walls wydał z siebie szyderczy okrzyk.

– Przecież to jest tylko zwykły kot asteroidowy!

– To *jest* Westanin! – zawołał Kenniston. – Strzelajcie mu w łeb…

Jego ostrzeżenie było jednak spóźnione. Kotowate stworzenie rzuciło się potężnym susem w stronę grupy.

Kiedy tylko pasiaste ciało wystrzeliło w powietrze, Walls nacisnął spust trzymanego w ręku pistoletu atomowego. Uwolnione z trzaskiem wyładowanie energii rozerwało ciało szarżującego kota asteroidowego, i zwierzę ciężko upadło kilka jardów od nich.

W chwili kiedy padało na ziemię, pokrywająca jego kark mała szara masa, nagle oderwała się od martwego zwierzęcia i pomknęła szybko przed siebie. Z błyskawiczną szybkością rzuciła się w kierunku Braya, który akurat stał najbliżej z całej grupy.

Małe, szare stworzenie było nie większe, niż dwie zwinięte razem pięści ludzkie. Szara, pomarszczona masa, pozbawiona jakichkolwiek cech charakterystycznych, poza oczkami jak szpileczki i krótkimi szponiastymi nogami, na których pędziła. Dopadła Braya i kiedy zaskoczony klął niczym świat stoi, wdrapała się mu szybko po nodze i plecach.

Kenniston z przerażenia nie zważał na niebezpieczeństwo, wrzasnął głośno i ruszył w stronę pilota. Bray przeklinał i próbował uderzeniem strącić wspinające mu się po plecach szare stworzenie. Ale malec zdążył dopaść jego karku. Wczepił mu się w plecy i szybko wbił dwie małe, ostre jak igły antenki w podstawę szyi.

– Trzymajcie go! – ochrypłym głosem krzyknął Kenniston. – Westanin go dopadł!

Kiedy szare stworzenie zatopiło swoje antenki w jego karku, zachowanie Braya nagle uległo zmianie. Jego twarz zesztywniała i stała się podobna do maski.

Pilot odwrócił się i pobiegł sztywno w stronę dżungli. Kenniston skoczył i niemal go dosięgnął, ale Bray machnął pięścią, posyłając Kennistona na ziemię.

– Nie pozwólcie mu uciec! – wrzasnął Kenniston podnosząc się na nogi.

Ale pozostali byli za bardzo porażeni zdumieniem i przerażeniem, aby zadziałać na czas. Bray zdążył już zanurkować w dżungli i zniknął im z oczu.

– Mój Boże, co się stało? – zawołał osłupiały kapitan Walls. – Bray najwyraźniej oszalał!

Jego pistolet mierzył w Kennistona i Holka Ora, tak jakby uważał ich za odpowiedzialnych za to co zaszło.

– On nie oszalał, ale teraz jest zgubiony – ciężko stwierdził Kenniston. – To małe szare stworzenie, to był jeden z Westan.

– Ale co on mu zrobił? To stworzenie nie było na tyle duże, żeby zrobić komukolwiek krzywdę.

– Jeszcze nie wiesz o nich wszystkiego – złowieszczo oznajmił Holk Or. – Ci mali Westanie, to najbardziej niebezpieczne stworzenia w całym Układzie Słonecznym.

– Westanie – ponuro dodał Kenniston, – są na wpół inteligentnymi pasożytami. Żyją przytwierdzając się do ciał innych stworzeń i kontrolując ich umysły. Robią to, wkłuwając się tymi małymi, podobnymi do igieł antenkami, w system nerwowy ofiary. Po tym zabiegu, Westanin w pełni kontroluje ciało nosiciela. Kiedy ofiara umiera, albo zostaje ranna, Westanin odłącza się od niej i umocowuje się na innym nosicielu.

Na pobladłych twarzach pozostałych ludzi, widać było przerażenie. Murdock przełknął ślinę i spytał:

– A więc, Bray…

– Braya nie można już uratować – powiedział Kenniston. – Westański pasożyt będzie kontrolował jego ciało, dopóki nie umrze. Westanie zawsze lubili przyczepiać się do istot

ludzkich. Wiedzą, że ciało człowieka posiada dużo bardziej wszechstronne możliwości, niż zwierzęcia.

Nad małą polaną w dżungli stopniowo zapadał zmierzch, ponieważ w czasie ostatnich kilku minut, słońce zaszło już za horyzontem. W gęstniejącym zmroku otaczająca ich dżungla wyglądała na ponurą i zadumaną.

W górze, na niebie tej Planety Tysiąca Księżyców, spektakl natury zaczął prezentować się w pełnej krasie. Setki orbitujących wokół asteroidy meteorów, widocznych w każdym niemal zakątku nieba, w zapadającym mroku jaśniało coraz silniejszym blaskiem.

Kapitan Walls przełamał w końcu zaklęcie przerażenia i strachu.

– Lepiej będzie jeśli na dzisiejszą noc schronimy się z powrotem na statku – nerwowo oznajmił. – I tak aż do jutra nie możemy ruszyć z żadnymi naprawami. W tym czasie zastanowimy się nad jakimś sposobem radzenia sobie z tymi diabelskimi stworzeniami.

Murdock powiedział gorzko do Kennistona:

– To co spotkało Braya, to również twoja wina, Kenniston. To ty ściągnąłeś jego i te kobiety w takie miejsce, wszystko z powodu tego twojego braciszka.

– Kiedy wrócimy na Marsa, odpowie za to przed sądem – obiecał kapitan. – Nawet jeśli początkowo nie był jednym z ludzi Darka, pomagając mu sam również stał się piratem kosmicznym, wartym szubienicy.

Kenniston nie próbował się nawet bronić. Wiedział, że oni tego nie zrozumieją dlaczego poświęcił ich, aby uratować Ricky'ego, nawet jeżeli wszystko im opowie.

Wraz z Holkiem Orem zostali zamknięci w jednej z małych kabin, po wcześniejszym dokładnym jej przeszukaniu. Na zewnątrz, za zamkniętymi na klucz drzwiami, na straży stanął marynarz Thorpe.

Holk Or, bandażujący poparzoną rękę, rozejrzał się z niesmakiem po ciemnej małej kabinie.

– Wpadliśmy w najbardziej diabelne kłopoty z możliwych – zaklął Jowianin. – Dolecieliśmy z materiałami taki kawał, na samą Westę, ale nie możemy zawiadomić o tym szefa.

Kenniston spytał go z żarem:

– Holk, czy John Dark rzeczywiście zastrzeli Ricky'ego, jeśli nie dostarczymy mu tego wyposażenia? Powiedział, że tak zrobi, ale przecież wiesz, że go potrzebuje.

Kenniston uczepił się tego ostatniego skrawka nadziei na uratowanie brata. John Dark i jego piraci naprawdę potrzebowali Ricky'ego. Ponieważ Ricky był lekarzem — doktorem Richardem Kennistonem z Instytutu Medycyny Planetarnej.

To dlatego John Dark darował życie obu braciom, kiedy zostali schwytani na frachtowcu, którym wracali z Saturna na Ziemię. Normalnie herszt piratów zabiłby ich bez litości, tak jak zabijał wszystkich więźniów, którzy nie byli dostatecznie bogaci, i nie mogli zapłacić okupu.

Uratowało ich tylko to, że Ricky był lekarzem. Piraci potrzebowali lekarza. Z tego powodu zatrzymali więc obu braci na swoim statku, jako jeńców. Kenniston i Ricky nadal byli więzieni na *Falconie*, kiedy Patrol w końcu go znalazł i zniszczył.

– Dark wie, że Ricky jest znakomitym lekarzem, a on potrzebuje lekarza – Kenniston z nadzieją powtórzył, wielkiemu Jowianinowi. – Z pewnością nie będzie aż taki głupi, żeby zastrzelić Ricky'ego, nawet jeżeli nie dostarczymy tego wyposażenia.

– Kenniston, nie oszukuj się – ostrzegł go Holk Or. – Szef powiedział, że go zastrzeli, jeśli w ciągu dwóch tygodni nie wrócimy z materiałami, i z pewnością to zrobi. John Dark nigdy nie łamie swojego słowa.

To zapewnienie wbiło jeszcze głębiej sztylet w udręczoną duszę Kennistona. Jeżeli to jest prawdą, a w głębi serca doskonale zdawał sobie sprawę że jest, Ricky zginie za dwa dni od dzisiaj, chyba że jakoś uda mu się dostarczyć Darkowi materiały do napraw.

Nie *może* pozwolić na śmierć Ricky'ego! Zbyt wiele zależy od tego, czy jego młody brat przeżyje. Musi uratować Ricky'ego, nawet jeśli miałoby to oznaczać oddanie Glorii i pozostałych w łapy piratów. Lepiej jeśli zostaną trzymanymi dla okupu zakładnikami, niż gdyby Ricky miał zginąć!

Kenniston zerwał się na nogi, pełen zdecydowania.

– A więc, musimy się stąd wydostać – wymamrotał. – Musimy uciec i zanieść Darkowi informacje o tym, że wyposażenie jest tutaj.

Pośpiesznie kontynuował.

– Holk, obóz Darka jest tylko kilka mil na północ stąd. Zauważyłem go, kiedy spadał *Sunsprite*.

Hol Or zaskoczony zawołał:

– Dlaczego, u diabła, mi o tym nie powiedziałeś? Myślałem, że być może jest gdzieś daleko, może po drugiej stronie asteroidy, i w tej dżungli nigdy go nie znajdziemy, nawet jeśli udałoby nam się stąd uciec.

– Mimo wszystko, to i tak nie będzie łatwa sprawa – ostrzegł go Kenniston. – W dżungli pomiędzy tym miejscem, a obozem Darka, mogą dopaść nas Westanie. A w każdym razie, w jaki sposób mielibyśmy wydostać się z tej kabiny?

Wielki Jowianin uśmiechnął się szeroko.

– To akurat będzie łatwe. Już dawno by mnie tutaj nie było, tylko czekałem aż na statku trochę się uspokoi.

Kenniston wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Te drzwi są zamknięte na klucz. A w kabinie nie ma żadnych narzędzi, ani broni. Kiedy ją przeszukiwali, nie pominęli niczego, nawet najdrobniejszej rzeczy!

Uśmiech Holka Ora jeszcze się poszerzył.

– Ale zapomnieli o jednej sprawie. Zapomnieli jak silny jest Jowianin, na takiej małej asteroidzie, o słabej sile przyciągania!

Rozdział 5
Nocny atak

Kenniston desperacko uchwycił się nadziei jaką niosły słowa Jowianina.

– Co przez to rozumiesz, Holk?

– Rozumiem przez to, że na tej małej asteroidzie jestem setki razy silniejszy niż na mojej rodzinnej planecie, Jowiszu. W każdej chwili, kiedy tylko będę chciał, mogę wyłamać zamek w tych drzwiach

– Ale tam na zewnątrz stoi uzbrojony strażnik.

– Wiem, i w tym miejscu zaczyna się twoja rola, Kenniston. Kiedy wyłamię te drzwi, musisz być gotów, żeby natychmiast rzucić się na strażnika.

Kenniston szybko myślał. Szanse na wydostanie się ze statku i bezpieczne przedarcie się przez dżunglę do obozu piratów, wydawały się raczej wątłe, nawet jeśli uda im się uciec z tej kabiny. Tym niemniej, to była jedyna możliwość dostarczenia Johnowi Darkowi sprzętu znajdującego się w ładowni.

Gorzka ironia tej całej sytuacji, uderzyła Kennistona, chyba już po raz setny. On, Lance Kenniston, przez kilkanaście lat szanowany człowiek kosmosu, usiłował desperacko dopomóc, najbardziej chyba notorycznemu piratowi przestworzy! Nawet jeśli oznacza to ściągnięcie niebezpieczeństwa na głowę dziewczyny, do której czuł…

Wyrzucił Glorię ze swego umysłu. Nie wolno mu teraz o niej myśleć. Musi myśleć wyłącznie o Rickym, i o tym co przepadnie na wieki, jeżeli Ricky umrze. Musi zaryzykować wszystko, poświęcić wszystko, żeby zapobiec tej stracie.

– Równie dobrze możemy spróbować teraz – zaproponował Jowianinowi przyciszonym głosem. – Na statku chyba panuje już spokój.

– Będę się starał, żeby nie narobić za dużo hałasu – wymruczał Holk Or. – To co, jesteś gotów?

Wielkie ręce Jowianina złapały za klamkę u drzwi. Kenniston przyczaił się tuż obok niego, napinając wszystkie mięśnie.

Holk Or raptownie użył całej swojej, ogromnie zwiększonej siły, wkładając ją w potężne szarpnięcie drzwiami. Zamek złamał się z trzaskiem podobnym do wystrzału z pistoletu, i drzwi stanęły otworem.

Stojący pod kabiną strażnik, odwrócił się z zaskoczeniem, jego ręka powędrowała do przypiętego za pasem pistoletu atomowego, a usta otworzyły się do krzyku. Ale natychmiast kiedy tylko drzwi zostały wyrwane z framugi, Kenniston rzucił się na niego jak ludzki pocisk.

Pięść Kennistona trzasnęła marynarza w podbródek i mężczyzna zaczął upadać bezwładnie, pozbawiony przytomności, zanim z gardła zdążył mu się wyrwać najlżejszy krzyk. Kenniston pośpiesznie złapał jedną ręką jego pistolet atomowy, a drugą przytrzymał i ułożył na podłodze samego wartownika.

Razem z Holkiem Orem przez chwilę nasłuchiwali w napięciu. Pojedynczy ostry trzask pękającego zamka, najwyraźniej nikogo nie zaalarmował. Na statku panował spokój. Wszyscy na pokładzie byli wyczerpani i mocno zasnęli.

– Chodźmy – z napięciem wyszeptał Kenniston do Jowianina. – Musimy się pośpieszyć, żeby dotrzeć do obozu Darka, przed końcem nocy.

Holk Or zachichotał.

– Szef przyjmie nas z otwartymi rękoma, gdy dowie się że mamy tutaj dla niego te wszystkie materiały.

Kiedy przekradali się przez ciemny statek i wychodzili przez główne wrota, Kenniston przez cały czas trzymał rękę na pistolecie atomowym. Gdy znaleźli się już na zewnątrz, przystanęli w ciemnościach.

Sceneria roztaczająca się wokoło była magiczna, nieziemsko piękna. Ogromna metalowa masa krążownika i wznosząca się wokół polany dżungla, skąpane były we wspaniałym srebrzystym świetle, opadającym z cudownego nocnego nieba, tej Planety Tysiąca Księżyców.

Na rozpościerającym się nad głowami sklepieniu niebios, rzeczywiście musiało chyba płonąć tysiąc księżyców! Na całym ciemnym niebie kłębiły się wręcz jaśniejące malutkie księżyce, pędzące nieprzerwaną rzeką przez firmament, wraz z rojem meteorów, którego były częścią. Wyglądało to jak wspaniała panorama świata ze snów.

Kenniston jednak był przyzwyczajony do tego nieziemsko pięknego spektaklu. Jako pierwszy ruszył szybkim krokiem w stronę północnego skraju dżungli.

– Musimy tylko przedzierać się cały czas na północ – powiedział Jowianinowi. – Kiedy dojdziemy do tego małego jeziora, bez trudu znajdziemy obóz Darka.

Zanurzyli się w gęstej dżungli, bajkowej krainie srebrzystych smug światła, przebijających się przez zasłonę z liści. Coś nagle poruszyło się w pobliżu.

– Kenniston, strzelaj! – natychmiast krzyknął Holk Or.

Kenniston już wcześniej zauważył białe zwierzę pędzące w ich stronę przez niewielką łatę księżycowego światła. Był to jeden z wielkich szczurów meteorowych. Na jego karku piętrzył się mały szary kłąb, Westanin.

Przerażenie wywołane przez ohydne pasożyty, pomogło Kennistonowi błyskawicznie zacisnąć palec na spuście pistoletu atomowego. Trzeszczące wyładowanie energii, które wyleciało z broni, uderzyło prosto w przyczepionego do szczura meteorowego Westanina, i zarówno pasożyt jak i jego ofiara zamienili się natychmiast w wypalony, dymiący stos resztek.

– Jasna cholera by to wzięła! – zawołał wielki Jowianin. – Obudziliśmy cały statek!

Z *Sunsprite'a* wylewali się już ludzie obudzeni przez wystrzał pistoletu atomowego, i pędzący za dwoma uciekinierami. Kenniston usłyszał krzyk kapitana Wallsa.

– Są tutaj, w dżungli! Rozproszyć się i otoczyć ich! – rozkazał oficer.

Kenniston i Jowianin pobiegli przed siebie, próbując uciekać na północ. Wkrótce jednak natknęli się na niemożliwe do przedarcia kolczaste zarośla.

Zanim udało im się znaleźć drogę dookoła, wszędzie wokół siebie usłyszeli zacieśniający się pierścień ludzi. Byli całkowicie otoczeni.

– Kenniston! Ty i Jowianin macie wyjść na polanę z podniesionymi rękoma, albo każę wypalić każdy cal tych zarośli, a i tak was dostanę! – usłyszeli stentorowy głos kapitana.

– Do diabła, złapali nas w potrzask! – ze wściekłością w głosie zawołał Holk Or. – Musimy wywalczyć sobie drogę przez nich.

– Nie – oznajmił Kenniston. – I tak by nam się to nie udało. A ja nie będę strzelał do niewinnych ludzi.

Holk Or z gniewem próbował złapać za pistolet atomowy, ale Kenniston błyskawicznie odrzucił go w krzaki. Nawet w tak ekstremalnych warunkach, nie potrafił się zmusić do zabijania.

– Jesteś skończonym głupcem! – Jowianin ze złości aż zazgrzytał zębami. – Teraz nie pozostało nam nic innego, tylko się poddać.

Z uniesionymi rękoma, wyszli z dżungli na jaskrawe srebrzyste światło zalewające polanę. Natychmiast zostali otoczeni przez kapitana Wallsa, Murdocka i uzbrojonych marynarzy.

Dziewczęta, ich wystraszona opiekunka, młody Lanning i Robbie Boone, wychodzili właśnie z *Sunsprite'a*, zwabieni przez odgłosy alarmu. Kenniston nie patrzył w ich kierunku.

Widoczna w księżycowym świetle twarz kapitana Wallsa, była bardzo ponura. On, oraz jego ludzie trzymali dwóch schwytanych zbiegów pod bronią.

– Kenniston, ty i ten Jowianin, ruszyliście w drogę do Johna Darka, żeby donieść mu o naszej obecności tutaj, nieprawda? Nie musisz zaprzeczać, to zupełnie oczywiste.

– Pewnie, że tak! – zawołał wściekły Jowianin. – I z pewnością by nam się to udało, gdyby z dżungli nie wyskoczył ten przeklęty Westanin!

– To oznaczałoby złapanie nas wszystkich przez piratów Darka – ponuro stwierdził kapitan. – Dopóki żyjecie, wasza dwójka stanowi dla nas poważne zagrożenie. Mam zamiar to zagrożenie usunąć. Jako kapitan statku kosmicznego, zgodnie z prawem mam możliwość wykonania natychmiastowej egzekucji na każdym piracie kosmicznym, jakiego zdołam złapać. I teraz taką egzekucję zarządzam.

– Ma pan zamiar ich zabić? – zawołała Gloria. – Och nie… nie może pan!

– To jest absolutnie konieczne, zanim oni wydadzą nas piratom, panno Loring – bronił swojej decyzji kapitan. – Gdybyśmy ich zabrali na Marsa, i tak zostaliby skazani na śmierć przez sąd. A my nie możemy zaryzykować trzymania ich w areszcie przez tak długi czas.

– Ale tak po prostu ich zastrzelić? – spytała ze zgrozą Gloria. – Nie mogę na to pozwolić!

Murdock wziął ją za rękę.

– Takie jest prawo kosmosu, Glorio – żarliwie ją zapewnił. – Lepiej idź z powrotem na statek.

Kenniston w milczeniu stał na jasnej polanie, ponieważ zdawał sobie sprawę, że zdecydowanie w głosie Wallsa, oznaczało że te wszystkie apele będą zupełnie nieskuteczne. Nie było sensu próbować im ponownie wyjaśniać, dlaczego zdecydował się zdradzić ich wszystkich po to, aby uratować Ricky'ego. Nawet gdyby go wysłuchali, i tak by tego nie zrozumieli.

Czuł się zmęczony, rozbity, stary. W ciągu ostatnich kilkunastu lat, przebył daleką drogę, ale każda jej mila prowadziła tylko do tego końca. Miał umrzeć tutaj, pod tymi pędzącymi meteorami-księżycami Westy, a to oznaczało że Ricky i jego marzenie, wkrótce również umrą.

– Mówiłem ci, że głupio zrobiłeś, wyrzucając ten pistolet w krzaki – wymamrotał do niego Holk Or.

– **W**y dwaj, ruszać tam dalej, na skraj polany – ponuro rozkazał kapitan Walls, machając trzymaną w ręku bronią. – Kenniston, czy chciałbyś coś przedtem powiedzieć?

– Nic, czego ty i twoi ludzie, byście chcieli wysłuchać albo zrozumieć – mrocznym głosem odparł Kenniston. – Nie, nie mam nic do powiedzenia.

W tej samej chwili od strony ciemnej dżungli usłyszeli twardy spokojny głos.

– Ale *ja mam* coś do powiedzenia. Wy wszyscy tam, rzucić tę broń na ziemię i podnieść ręce do góry!

Walls obrócił się dookoła, z przekleństwem na ustach, unosząc swój pistolet atomowy. Ale z dżungli uderzyła jasna smuga ognia, która trafiła kapitana w ramię i odrzuciła go nieco do tyłu.

Jedna z dziewcząt głośno krzyknęła. Inny z marynarzy z *Sunsprite'a* próbował także wycelować ze swojej broni, ale został ścięty przez drugie wyładowanie energii atomowej, które trafiło go w nogę.

– *Nie* chcę was pozabijać, chyba że mnie do tego zmusicie – z ciemności ponownie doleciał ten rzeczowy głos. – Macie dziesięć sekund na rzucenie broni.

– Kenniston, to szef! – wrzasnął z podnieceniem Holk Or. – To John Dark, we własnej osobie!

Nazwisko straszliwego pirata, synonim zimnej bezwzględności, wzmocniło wymowę groźby, która padła z ciemności.

Murdock rzucił trzymaną broń i zawołał:

– Hej, ludzie! Rzucić pistolety atomowe! Jeżeli spróbujemy walczyć, mogą ucierpieć kobiety!

Marynarze z *Sunsprite'a*, rzucili swoje pistolety na ziemię. Natychmiast na zalaną jasnym światłem polanę wyskoczyła z dżungli cała gromada piratów. Marsjanie, Wenusjanie, Ziemianie i inni. W skład tej hordy wchodzili kryminaliści, reprezentujący podziemia przestępcze każdej z planet Układu Słonecznego.

W ciągu kilku chwil rozbroili kompletnie wszystkich stojących na polanie i ustawili ich w rzędzie przed statkiem. Wszystkich za wyjątkiem Holka Ora, który głośno witał się ze swoimi pirackimi kamratami.

Kenniston zobaczył nadchodzącego w ich stronę, przez rozświetloną światłem księżyców polanę, Johna Darka. Słynny pirat był wysokim, barczystym Ziemianinem, ale pomimo tego w swoich ciężkich księżycowych butach, poruszał się z lekkością i gracją kota. Czarne, niczym nie przykryte włosy, otaczały inteligentną twarz o czarnych brwiach. W srebrzystym świetle wyglądała ona na chłodną i spokojną, kiedy jego oczy przemknęły po szeregu jeńców.

– A wiec w końcu raczyłeś wrócić, Kenniston. Co z materiałami do napraw? – spytał ostrym tonem.

Kenniston kiwnął głową w stronę *Sunsprite'a*.

– Są w ładowni. Dostaliśmy wszystko co było na liście.

– Dobrze! – pochwalił Dark. – Widzieliśmy dzisiejsze lądowanie awaryjne waszego statku, i natychmiast wyruszyliśmy w drogę. Przedzieraliśmy się przez dżunglę, walcząc z tymi przeklętymi Westanami, dopóki nie usłyszeliśmy dolatującego stąd gwaru głosów. Co się stało? Kim są ci ludzie?

Kenniston wyjaśnił w skrócie, jak namówił grupę Glorii Loring, aby przybyła tu na poszukiwania wymyślonego skarbu. Zadbał jednak o to, aby podkreślić kwestię bogactwa członków grupy, a John Dark zareagował dokładnie tak, jak się tego spodziewał.

– Jeżeli oni są tacy bogaci, to ich rodziny będą mogły zapłacić olbrzymi okup. Świetnie się spisałeś, Kenniston.

– A co z Rickym? – nerwowo dopytywał się Kenniston. – Czy wszystko z nim w porządku?

– Pewnie, że w porządku. Został w obozie – odparł Dark.

Gloria powiedziała gorzko do Kennistona:

– Możesz sobie pogratulować. Udało ci się uratować życie brata.

John Dark zwrócił się do niej:

– Panno Loring, zakładam, że pani i pani towarzysze, będą skłonni zapłacić okup również za waszą załogę? Nigdy nie biorę jeńców, chyba że daje to nadzieję na dobre zyski.

– Tak, oczywiście, zapłacimy okup również za załogę! – skwapliwie zgodziła się Gloria.

– Dobrze! – stwierdził pirat spokojnie. – Zobaczy pani, że niewola u nas, nie będzie dla pani ani trochę bardziej nieprzyjemna, niż jest to konieczne.

Pani Milsom, pulchna opiekunka, wytrzeszczała na słynnego pirata oczy, ze skrajną zgrozą. Kiedy Dark to dostrzegł, w jego oku pojawił się sardoniczny błysk.

– Całkiem ładna z ciebie dziewucha – zwrócił się do pulchnej wdowy z kpiącą admiracją. – Zaczyna chodzić mi po głowie myśl, żeby zrezygnować z okupu i zatrzymać cię dla siebie.

– Nie, nie! – wrzasnęła przerażona kobieta.

Dar wybuchnął ryczącym śmiechem.

– W porządku, moja przekwitająca piękności, weźmiemy okup również za ciebie.

Odwrócił się i sprawnie zarzucił rozkazami swoich podwładnych, którzy do tego czasu zebrali się za jego plecami.

– Zabrać ten towar z ładowni, załadować na ślizgi siłowe i zacząć przewozić do obozu. Będziecie musieli wykarczować drogę przez dżunglę. Użyć blasterów atomowych, żeby ją wypalić.

Jeden z piratów, Marsjanin o twardej twarzy, odparł z niepokojem:

– To narobi takiego hałasu, że ściągnie nam na głowę każdego Westanina z tej asteroidy.

– Jeżeli będziecie trzymać oczy otwarte, bez trudu dacie radę odeprzeć Westan – odciął mu się Dark. – A teraz dalej, do roboty! Musimy zabrać stąd ten cały towar i natychmiast przystąpić do naprawy *Falcona*. Ja odprowadzę tych jeńców do obozu.

Kenniston został dołączony do pozostałych jeńców. Pod silną eskortą uzbrojonych piratów, którzy pilnowali każdego ich kroku, oraz Darkiem i Holkiem Orem na czele, wyruszyli przez dżunglę w stronę obozu piratów.

Rozdział 6
Groza asteroidy

Obozowisko piratów położone było na wielkiej, wydartej dżungli, polanie, o jakąś milę od niewielkiego jeziora. Większość tej wolnej przestrzeni zajmował leżący, długi, wznoszący się na wiele metrów w górę, czarny kadłub najbardziej straszliwego statku korsarskiego jaki kiedykolwiek żeglował w kosmosie. *Falcon* został wypoziomowany, tak że leżał na równej stępce, ale zniszczenia w części podwójnych ogonowych silników rakietowych, wyraźnie wskazywały na poważne uszkodzenia jednostki.

Całe obozowisko było otoczone i chronione błękitną kopułą pola elektrycznego. Emitowane ono było przez ciężki miedziany przewód, rozwieszony na obwodzie polany, zasilany energią transmitowaną izolowanymi kablami, doprowadzonymi do wnętrza statku, do generatorów, napędzanych przez kilka ciągle jeszcze działających cyklotronów. Ta ochronna ściana energii, utworzona została na rozkaz Johna Darka, do powstrzymywania straszliwych Westan.

Kiedy razem ze swoimi ludźmi i prowadzonymi jeńcami, podeszli do migoczącej ściany obozu, Johna Dark zawołał głośno:

– Kin Ibo! Upuść dla nas ścianę!

Zobaczyli jak silnie zbudowany Marsjanin, który był w bandzie Darka zastępcą dowódcy, wskoczył do środka statku i wyłączył zasilanie bariery energetycznej. Kiedy opadła, Dark i jego grupa weszli na polanę. Po chwili elektryczna ściana ponownie wystrzeliła za nimi w górę.

Kenniston szybko rozejrzał się dokoła. Po obozie kręciła się masa barwnie wyglądających piratów. A obok czarnej burty wznoszącego się nad polaną *Falcona*, stał szereg małych, prymitywnych chat z bali, zbudowanych przez ludzi Darka.

Czarne oczy Darka płonęły tryumfem, kiedy przekazał swojemu porucznikowi z Marsa:

– Kenniston i Holk Or szczęśliwie przywieźli materiały. Sprowadzili tu również pewnych ludzi, którzy przyniosą nam pokaźny okup. Ich statek rozbił się kilka mil stąd na południe. Wyruszysz z połową ludzi i pomożecie tym którzy tam zostali, w transporcie materiałów do obozu.

Kin Ibo z lekkim niepokojem spojrzał na dżunglę, ale wykonał rozkaz. Dark machnięciem ręki skierował Kennistona i innych więźniów w stronę jednej z chat koło wielkiego statku.

– Ta chata będzie waszą kwaterą, dopóki nie naprawimy *Falcona* – oznajmił herszt piratów. – Każde z was, które spróbuje z niej wyjść, zostanie natychmiast zastrzelone. Mam nadzieję, że nie okażecie się tacy głupi, aby próbować ucieczki.

– Racja, ludzie, nie macie najmniejszej szansy – gorliwie zapewnił ich Holk Or. – Nawet gdyby udało wam się przedostać przez ścianę elektryczną, dopadliby was Westanie. W dżungli wokół obozu, aż się od nich roi.

W milczeniu weszli do chaty. Szeroko otwarte okna wpuszczały do niej na tyle dużo jaskrawego światła księżyców, aby rozjaśnić jej wnętrze.

Podskoczył do nich ciemnowłosy energicznie wyglądający Ziemianin, i zaczął ściskać rękę Kennistona.

– Lance, wróciłeś szczęśliwie! – zawołał. – Dzięki Bogu… zamartwiałem się tu o ciebie, niemal do szaleństwa.

– A co u ciebie, Ricky? – z niepokojem wypytywał Kenniston młodszego brata. – Wszystko w porządku?

Ricky Kenniston szybko kiwnął kilkukrotnie głową.

– Pewnie, wszystko w najlepszym porządku. Ale sprawy tutaj nie szły najlepiej, Lance. Tylko w ciągu ostatnich kilku dni Westanie złapali paru piratów, którzy zaryzykowali wyjście poza ścianę. Te stworzenia dosłownie kłębią się w otaczającej nas dżungli. Wydaje mi się, że musiały chyba ściągnąć tu z całej asteroidy.

Ricky ze zdziwieniem popatrzył na Glorię i pozostałych, którzy weszli do chaty.

– Lance, kim są ci ludzie? Czy oni też są więźniami Darka?

– Tak, jesteśmy więźniami – gorzko odparł mu Hugh Murdock, obrzucając Kennistona wściekłym spojrzeniem. – Jesteśmy więźniami, ponieważ ten twój braciszek, poświęcił nas, żeby wrócić tutaj i uratować twoją głowę.

– Lance, chyba tego nie zrobiłeś? – zawołał ze strapieniem Ricky.

– Musiałem, Ricky – odparł Kenniston. – Gdybym tego nie zrobił, kosztowałoby to twoje życie.

– Och, oczywiście – ironicznie przytaknął mu Murdock. – A cóż my znaczymy, w porównaniu z życiem twojego młodszego brata.

Kenniston odpowiedział powoli, słowo po słowie, Murdockowi, Glorii i pozostałym.

– Stawką, która zmusiła mnie do poświęcenia was wszystkich, jest nie tylko życie Ricky'ego. Tu chodzi o coś znacznie poważniejszego. Usiłowałem powiedzieć wam o tym już wcześniej, ale nie chcieliście mnie słuchać.

Kenniston ruszył w głąb chaty i po chwili przyniósł z powrotem czarną kwadratową torbę lekarską, swojego brata. Otworzył ją i spomiędzy znajdujących się w środku rozmaitych flakoników i instrumentów medycznych, wyciągnął kanciastą buteleczkę, wypełnioną mlecznym płynem.

– To właśnie dla tej buteleczki poświęciłem was wszystkich – stwierdził bez ogródek Kenniston.

Wszyscy wpatrywali się niepewnym wzrokiem.

– A co to jest? – spytała zaintrygowana Gloria.

– To jest odkrycie, jakiego dokonał Ricky – powiedział Kenniston. – To środek przeciwdziałający i leczący paraliż grawitacyjny.

Kapitan Walls, który sam również był doświadczonym człowiekiem kosmosu, jako pierwszy z całej grupy docenił znaczenie tego stwierdzenia. Kapitan wciągnął głęboko powietrze.

– Środek zapobiegawczy przeciwko paraliżowi grawitacyjnemu? Kenniston, *jesteś tego pewien*?

Kenniston poważnie skinął głową.

– Tak. Ricky pracował nad tym problemem już od dawna, jeszcze w Instytucie Medycyny Planetarnej. Wydawało mu się, że znalazł środek zapobiegający paraliżowi kosmicznemu, najstraszliwszej pladze zewnętrznych regionów Układu, chorobie która stała się przyczyną zagłady tak wielu kosmonautów. Ale jego formuła wymagała wykorzystania wielu rzadkich składników, które można znaleźć jedynie na planetach zewnętrznych.

– Ricky i ja – kontynuował, – wyruszyliśmy więc razem i zdobyliśmy te składniki. Wytworzyliśmy środek i wypróbowaliśmy go na człowieku chorym na paraliż grawitacyjny. Był to kosmonauta, który leżał sparaliżowany już od wielu lat. Zgodnie z planami środek powinien wzmacniać układ nerwowy człowieka, przeciwdziałając wstrząsowi związanemu ze

zmienną grawitacją, i pozwalając również na odtworzenie już zniszczonych połączeń sieci nerwowej. I okazało się, że to działa.

W głosie Kennistona, kiedy kończył, słychać było podejrzaną chrypkę.

– Efekty były wyśmienite, i ta żyjąca kłoda drewna, ponownie stała się człowiekiem. Środek okazał się sukcesem. Ricky i ja wyruszyliśmy z powrotem na Ziemię, gdzie zamierzaliśmy ogłosić jego odkrycie i zorganizować produkcję na masową skalę. Ale po drodze, schwytali nas piraci Darka.

Kenniston wyrzucił rękę w geście cierpienia.

– To dlatego zrobiłem wszystko co było konieczne, aby uratować życie Ricky'ego! Zrobiłem to, ponieważ Ricky jest jedynym człowiekiem, który zna skomplikowaną recepturę wytwarzania tego serum. Gdyby on umarł, jego tajemnica umarła by razem z nim. A to oznaczałoby, że w przyszłości kolejne dziesiątki tysięcy żyjących w kosmosie ludzi, zostanie doprowadzonych do tego stanu żywej śmierci przez paraliż grawitacyjny, podobnie jak to się już stało w przeszłości z tysiącami starych przyjaciół i towarzyszy!

Kapitan Walls odpowiedział jako pierwszy. Spokojnym, pewnym ruchem, pulchny dowódca *Sunsprite'a*, wyciągnął w jego stronę rękę.

– Kenniston, czy pozwoli mi pan uścisnąć swoją dłoń? Wybaczy mi pan to wszystko? Zrobił pan absolutnie to, co było słuszne. Jestem starym człowiekiem kosmosu, i *ja wiem* czym jest paraliż grawitacyjny.

W ciemnych oczach Glorii rozbłysły łzy.

– Gdybyśmy tylko wiedzieli – wyszeptała do Kennistona. – Nikt z nas nie może cię winić za poświęcenie takiej gromady bezwartościowych próżniaków jak my, w takiej sprawie.

– Ale przecież nic wam się nie stanie. Żadnemu z was – zapewnił ją Kenniston. – John Dark zażąda od zapłacenia wielkiego okupu, ale kiedy to już zrobicie, wrócicie bezpiecznie na Ziemię.

– I dzięki za to Bogu! – zawołała pani Milsom. – Nic nie zrozumiałam tego całego pańskiego bełkotu naukowego, ale jedno wiem, że herszt piratów nie ma w stosunku do mnie dobrych zamiarów. Nie wiedzieliście jakim pożądliwym wzrokiem na mnie spoglądał?

Wybuch śmiechu, który przywitał to stwierdzenie, nieco rozładował panujące napięcie. Kenniston odwrócił się do Ricky'ego, który klepnął go w ramię.

– A co będzie z nami, Lance? – cicho spytał Ricky. – Wiesz, że nas Dark nie wypuści. Ciągle potrzebuje mnie jako lekarza.

Hugh Murdock zrobił krok naprzód.

– Dark pozwoliłby wam odejść, gdybyście zapłacili dostatecznie wysoki okup. Ja go za was zapłacę.

Hojny gest Murdocka poruszył Kennistona. Był w stanie jedynie wymamrotać ciche słowa podziękowania.

W czasie gdy Ricky opatrywał poparzoną rękę kapitana Wallsa, oficer bez przerwy wpatrywał się z fascynacją w kwadratową butelkę z mlecznym płynem.

Z wahaniem powiedział:

– Mam syna… w domu, na Ziemi. Od pięciu lat leży w łóżku, chory na paraliż grawitacyjny, który zaatakował go na Jowiszu. Czy myśli pan może…

Ricky skinął potwierdzająco głową.

– Tak, panie kapitanie. Jestem pewien, że teraz będziemy mogli go wyleczyć.

Na zewnątrz, na polanie, wzmógł się głośny gwar. Kenniston podszedł do drzwi i wyjrzał na dwór.

Ściana elektryczna została na moment opuszczona i do obozu pośpiesznie wkroczyli Kin Ibo i główne siły piratów, prowadzących zaimprowizowane sanie energetyczne, na których przywieziono ciężki ładunek maszyn i materiałów.

Kenniston usłyszał jak Kin Ibo ostrym głosem melduje Johnowi Darkowi.

– Po drodze do obozu straciliśmy przez Westan dwóch ludzi… i niemal straciliśmy kolejnych dwóch! Nasze działania ściągnęły ich tu z całej asteroidy! Tylko na to popatrz!

Poza ścianą elektryczną, którą pospiesznie uniesiono już z powrotem, można było dostrzec kształty przyczajonych rozmaitych zwierząt zamieszkujących asteroidę. Szczury asteroidowe, wielkie pasiaste koty, płomieniste ptaki, a każde z tych czających się zwierząt miało przymocowanego do karku małego, szarego westańskiego pasożyta.

John Dark odrzekł szorstko.

– Żeby naprawić *Falcona*, musimy ściągnąć tu resztę tych materiałów.

– Mówię ci, że próba kolejnego przejścia przez te dżungle, oznacza samobójstwo! – wykręcał się Marsjanin. – Ci Westanie, to prawdziwe diabły!

– Eeee tam, wy Marsjanie wszyscy jesteście do siebie podobni. Nie ma z was żadnego pożytku, kiedy wchodzą w grę wasze przesądy – pogardliwie parsknął Dark. – Ja sam poprowadzę ludzi. No dalej, chodźcie tutaj! Rozładować te sanie i wracamy do wraku!

Jego magnetyczna osobowość nakłoniła wystraszonych i niechętnych piratów do wykonania tego zadania. I znów elektryczna ściana na chwilę znikła, aby ich wypuścić.

Kiedy wracali tuż przed świtem, Kenniston usłyszał, że ich zbliżanie obwieszczają trzaski pistoletów atomowych. I kiedy ściana została opuszczona, John Dark i jego ludzie wpadli do obozowiska, z wyładowanymi saniami, w szaleńczym pośpiechu.

– Włączyć ścianę! Szybko! – zaryczał gromki głos Darka. – Cała dżungla teraz wręcz roi się od tych diabłów. Kiedy wracaliśmy, dostali pięciu z nas!

Wyglądający ponad ramieniem Kennistona Ricky, powiedział ze strachem:

– Mój Boże, Lance! Spójrz tylko na nich! Nie wiedziałem nawet, że tak wielu Westan w ogóle istnieje!

Poza migoczącą barierą energetyczną, roiło się teraz od mnóstwa zwierząt i ptaków, opanowanych przez straszliwe, małe, szare pasożyty. A ich liczba z każdą chwilą zdawała się jeszcze rosnąć.

– Ten cały nocny zamęt musiał przyciągnąć Westan niemal zewsząd – wymruczał Kenniston. – Nie podoba mi się to. Jeżeli zawiedzie ściana elektryczna, te stworzenia w parę chwil będą już na nas.

Sam Dark zdawał się podzielać część jego obaw, ponieważ zaczął wykrzykiwać ponaglające rozkazy.

– Wyciągać te spawarki atomowe i zabierać się za mocowanie nowych płyt na ogonie *Falcona*! Kin Ibo, zbierz tę swoją bandę i zacznijcie mocować nowe silniki rakietowe. Ja dopilnuję instalacji nowych cyklotronów. Jeśli będziemy dobrze pracować, może uda nam się zakończyć robotę przed jutrzejsza nocą, i natychmiast się stąd wyniesiemy.

Przez cały dzień piraci pracowali z energią, która wyraźnie wskazywała na ich gorące pragnienie opuszczenia asteroidy. Pragnienie to było nieustannie wzmacniane przez coraz większą liczbę Westan, która kłębiła się za ścianą.

W chwili obecnej, za barierą, widać było dosłownie setki szarych pasożytów. Każda próba wydostania się poza ścianę, byłaby teraz najzwyklejszym samobójstwem. Stworzenia ewidentnie zostały przywabione przez ohydną żądzę posiadania na własność, ciała ludzkiego.

Gloria, wyglądając na zewnątrz, razem z Kennistonem, mocno się wzdrygnęła.

– Co za straszliwy świat! To jest jak koszmar.

– Wkrótce, będzie to już za nami – zapewnił ją Kenniston. – Spójrz, oni już niemal zakończyli naprawy *Falcona*.

Wytężona praca piratów dawała efekty. Zanim nadeszła kolejna noc, i malutkie meteory-księżyce ponownie rozbłysły na ciemnym niebie, magicznym spektaklem, wszystkie zadania związane z naprawą, zostały wykonane niemal do końca.

Kenniston i jego towarzysze nie zaryzykowali wystawienia z chaty nawet czubka nosa. Piraci byli wszędzie na całej polanie, a wszyscy słyszeli jasny i precyzyjny rozkaz Johna Darka, żeby zabić każdego więźnia, który opuści przeznaczone dla nich miejsce uwięzienia.

Ale nawet z chaty, Kenniston oraz pozostali mogli dostrzec, że buszująca wokół obozu horda zwierząt opanowanych przez Westan, jeszcze bardziej się powiększyła. Ze straszliwą pożądliwością, krążyli oni nieustannie wokół migoczącej ściany elektrycznej.

Kenniston poderwał się zaalarmowany przez głośny trzask kłody z tylu chaty. Dwie belki zostały dosłownie roztrzaskane na kawałki. Przez otwór zajrzała pokancerowana zielona twarz, a za nią gigantyczne ramiona Holka Ora.

– Kenniston, dostałem się tutaj w ten sposób, ponieważ nie ośmieliłem się poprosić Darka o to, aby pozwolił mi się z tobą zobaczyć! – zawołał Jowianin. Na jego twarzy panował wyraz pośpiechu. – Dowiedziałem się, że Dark nie ma zamiaru pozwolić, aby twoi przyjaciele wydostali się z Westy żywi.

– Co? – zawołał Kenniston. – To chyba niemożliwe! Dark powiedział przecież, że zatrzyma Glorię i pozostałych dla okupu.

Holk Or pośpiesznie skinął głową.

– Wiem, i wtedy miał zamiar tak zrobić. Ale od tego czasu dowiedział się o czymś, co zmieniło jego plany. Dowiedział się tego ode mnie. Jak ostatni głupiec powiedziałem mu wszystko, kiedy mnie wypytywał.

Jowianin mówił dalej najszybciej jak tylko mógł.

– Powiedziałem mu, że Murdock wysłał do Kwatery Głównej Patrolu zapytanie przez teleaudio, odnośnie mojej kartoteki. Teraz Dark wykalkulował sobie, że Patrol przyleci tutaj, żeby sprawdzić, czy ta wiadomość czasami naprawdę nie oznacza, że jakieś niedobitki bandy Johna Darka im uciekły.

– Dark chce, aby Patrol nadal myślał, że on i jego banda zostali zniszczeni. Dzięki temu będzie mógł prześlizgnąć się na Plutona i zorganizować tam sobie nową bazę. A więc Dark, kiedy stąd odleci, chce porzucić pannę Loring i jej przyjaciół w rozbitym *Sunspricie*, tak by Patrol znalazł ich martwych we wraku i uwierzył, że krążownik rozbił się przypadkiem. Dzięki temu nie będą go dalej szukać, tak jak by się to stało, gdyby cała grupa Panny Loring zaginęła bez wieści. A Dark będzie miał szansę przedostać się na Plutona, nie wzbudzając alarmu.

Kenniston nie mógł wyzbyć się podejrzeń:

– Dlaczego nam o tym mówisz, Holk? Sam przecież jesteś jednym z piratów.

– Wiem, ale boję się, że Dark *również i mnie* ma zamiar zostawić razem z innymi w *Sunspricie*! – zawołał Holk Or. – Niczego takiego oczywiście nie powiedział, ale wydaje mi się, że wykombinował sobie, żeby tak właśnie zrobić, po to by ta sprawa zapytania o mnie przez teleaudio, została zamknięta po znalezieniu we wraku moich zwłok, razem z innymi.

Murdock szybko powiedział:

– Kenniston, Jowianin ma rację. Teraz, kiedy wie, że moja wiadomość przez teleaudio wzbudziła podejrzenia Patrolu, Dark po prostu musi to wszystko zrobić, żeby ukryć swoje ślady.

Holk Or stwierdził z naciskiem:

– Jeżeli zdołasz wymyślić jakiś sposób przejęcia *Falcona*, to jestem z tobą, Kenniston!

Kenniston chodził po chacie w tą i z powrotem. Wszystkie myśli wypełniło mu dzikie kłębowisko koszmarnych lęków. To oznaczało śmierć Glorii i pozostałych, a ostatecznie odpowiedzialność za ich śmierć spada na niego.

– Mamy tylko jedną, jedyną możliwość, przejęcia *Falcona* – w końcu wymamrotał. – Ale na miłość Boską, wygląda to naprawdę na szalony pomysł…

– Proszę chwileczkę zaczekać! – przerwał mu kapitan Walls. – Kenniston, Dark nie zostawi na śmierć pana i pańskiego brata. Nadal potrzebuje pańskiego brata jako lekarza. Wy dwaj będziecie bezpieczni, nawet jeżeli my wszyscy zginiemy.

– I co z tego? Nie mogę pozwolić na to, aby zamordowano Glorię i pozostałych! Mogłem was poświęcić, kiedy myślałem, ze chodzi jedynie o zatrzymanie was dla okupu, ale to wszystko zmienia! – gwałtownie wyrzucił z siebie Kenniston.

– To nie zmienia absolutnie niczego – pewnym głosem odparł kapitan. – Pańskim obowiązkiem jest utrzymanie brata przy życiu, za wszelką cenę. Uratowanie tego środka, który oznacza życie i nadzieję dla tysięcy ofiar paraliżu grawitacyjnego, takich jak mój syn.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że powinienem pozwolić, abyście wszyscy zginęli, po to aby uratować mnie i Ricky'ego? – zawołał Kenniston. – Niech mnie diabli, jeśli tak zrobię!

– Nigdy się na to nie zgodzimy! – gorąco zgodził się z nim Ricky Kenniston. – Żaden środek na świecie nie jest tego wart.

– *Ten* środek, jest! – żarliwie przekonywała Kennistona Gloria. – Kapitan ma zupełną rację.

– Nie zrobię tego – powtórzył Kenniston. – Mam pomysł, dzięki któremu może uda nam się zdobyć *Falcona*. Spróbujemy tego dokonać.

– Bądź rozsądny, Kenniston – przekonywał go Hugh Murdock. – Nikt z nas nie ma broni, poza Holkiem Orem. Jakie szanse będziemy mieli przeciwko setce uzbrojonych po zęby piratów?

Kenniston popatrzył na brata.

– Ricky, twój środek wzmacnia system nerwowy, chroniąc go przeciwko każdej formie wstrząsu lub uszkodzenia, nieprawdaż? Mówiłeś mi, że odbywa się to przez otoczenie włókien nerwowych, nieprzeniknioną powłoką.

Ricky potwierdził z zaintrygowaniem.

– Tak, taka jest jego zasada działania. Ale w jaki sposób miałoby to nam pomóc?

– Westanie – przypomniał Kenniston, – przejmują kontrolę nad swoimi ofiarami poprzez wkłucie w system nerwowy ofiary tych małych iglastych antenek, co pozwala im na nawiązanie połączenia. Czy twój środek będzie izolował nerwy zapobiegając takiemu połączeniu? Czy może on uczynić człowieka odpornym na atak Westan?

– Pewnie, powinien to zrobić! – oznajmił ze zdumieniem Ricky. – Nigdy o tym nie pomyślałem, ale to jest zupełnie logiczne.

– A więc – szybko dodał Kenniston, – chciałbym abyś każdemu z nas, włączając w to również i siebie, dał natychmiast zastrzyk z twojego środka.

Niewzruszona pewność w jego głosie, odsunęła na bok wszystkie zdumione pytania i sprzeciwy. Ricky pośpiesznie przygotował iniektor podskórny i szybko zrobił każdemu z nich zastrzyk z mlecznego płynu, w rozległe centrum nerwowe na karku. Kenniston zrobił taki sam zastrzyk Ricky'emu.

– *Powinniśmy* więc być odporni na atak Westan – błagalnym tonem stwierdził Kenniston.

– Ale po co nam to wszystko? – dopytywał się Holk Or. – Czy myślisz o próbie ucieczki do dżungli?

– Nie, myślałem raczej o przejęciu Falcona… przy pomocy Westan – odparł Kenniston. – Powiedz mi Holk, czy możesz dostać się do statku i wyłączyć zasilanie podtrzymujące działanie ściany elektrycznej? Czy dałbyś radę opuścić ścianę?

Szczęka Jowianina opadła.

– Czemu nie, pewnie. Mogę to zrobić, ale wtedy wleją się tu te hordy Westan, czekające na zewnątrz ściany…

Przerwał, a jego oczy zaczęły robić się coraz większe.

– Dobry Boże, a więc na tym polega twój plan? Żeby wpuścić tutaj Westan?

– Tak – zwięźle odparł Kenniston, z ponurym wyrazem na twarzy. – Żeby wpuścić Westan do środka, tak by zaatakowali piratów. Dzieki temu będziemy mieli szansę na zajęcie statku, jeżeli faktycznie ten środek zabezpiecza nas przed Westanami.

Straszliwy charakter tej propozycji, sparaliżował ich wszystkich. Ale po chwili w oczach Jowianina zajaśniał płomień determinacji.

– Zrobię to! – zaklął. – To lepsze niż bezczynnie czekać aż Dark mnie zabije, tak jak zaplanował. Bądźcie gotowi!

Jowianin wyślizgnął się przez dziurę w tylnej ścianie chaty. Wkrótce zobaczyli jak niby mimochodem zbliża się do wrót wejściowych *Falcona.*

Wysoka, władcza postać Johna Darka, stała widoczna w świetle księżyców, wydając ostre rozkazy gromadzie piratów, którzy kończyli już ostatnie prace przy nowych silnikach rakietowych. Kenniston powiódł wzrokiem w stronę migoczącej ściany elektrycznej i olbrzymiej hordy kłębiących się za nią, opanowanych przez Westan zwierząt.

Nagle ściana opadła! A kiedy zniknęła elektryczna bariera ochronna, na polanę rzuciła się chmara żyjących na asteroidzie zwierząt.

– Ściana zgasła! – wrzasnął John Dark, a pistolet atomowy sam wskoczył mu do ręki. – Cofać się na statek… cofać się…

Końcówka okrzyku utonęła w głośnym trzasku jego własnej broni atomowej. Pozostali piraci również otworzyli szaleńczy ogień do atakujących ich ohydnych zwierząt.

Natychmiast mali szarzy Westanie zaczęli oddzielać się od swoich zwierzęcych żywicieli i wyroili się na piratów, wspinając się z oszałamiającą prędkością po ich nogach i plecach, i zatapiając w ich karkach małe antenki.

Kenniston spostrzegł jak John Dark, z obrzydliwym małym pakunkiem, który przywarł do tyłu jego szyi, odrzucił trzymaną w ręku broń i na sztywnych nogach powędrował w stronę dżungli. Jego twarz stała się nieludzką, pozbawioną życia maską. Stał się ludzkim automatem, zdominowanym zupełnie przez obce stworzenie.

– Dalej, chodźmy! – zawołał Kenniston do przyjaciół. – Teraz mamy szansę dostać się na statek!

Wypadli z chaty, rzucając się w środek straszliwej bitwy. Piraci teraz próbowali z wrzaskiem uciekać do dżungli, w nadaremnym wysiłku, aby pozbyć się hordy Westan. Już ponad połowa rabusiów, została przez nich opanowana.

Kiedy biegli, Kenniston usłyszał krzyk Glorii, poczuł szybkie ruchy na swoich plecach, a następnie ukłucie jakby igłą, wbijających się w jego szyję antenek.

Ale pasożytowi *nie udało* się pokonać jego woli! Sięgnął ręką ponad ramieniem, chwycił i oderwał ohydne małe stworzenie od pleców, a następnie z silnym obrzydzeniem rzucił nim o ziemię.

– Twój środek działa, Ricky! Jesteśmy na nich odporni! – wysapał zdyszany ze strachu. – Ale pośpieszmy się!

Kiedy biegli dalej, inni Westanie również próbowali wspinać się po nich, jak straszliwe szare pająki, ale byli zupełnie bezsilni, nie mogąc przejąć nad nimi kontroli. Odrywali i rzucali na ziemię kolejne stworzenia, a następnie ruszali dalej.

We włazie Falcona pojawił się Holk Or, z rozpaloną twarzą, a jego pistolet atomowy zalewał falą niszczącego ognia piratów znajdujących się wewnątrz statku.

– Oczyściłem z nich cały statek! – krzyknął Jowianin do Kennistona. – Wynośmy się stąd!

Był już na to najwyższy czas, tak więc zrobili to bez wahania. Niemal wszyscy z piratów Johna Darka, zostali już przejęci przez Westan, i stali się sterowanymi przez pasożyty robotami, które krok za krokiem pokuśtykały w dżunglę. Roje pozostałych Westan pędziły już w stronę grupy Kennistona.

Wpadli do środka *Falcona* i zatrzasnęli za sobą wrota wejściowe. Statek został w pełni, chociaż prowizorycznie, naprawiony, i gotów był do natychmiastowego odlotu. Kapitan Walls i ludzie z załogi *Sunsprite'a*, pośpiesznie uruchomili nowo zainstalowane cyklotrony, podczas gdy Kenniston wraz z pozostałymi, pośpieszyli na mostek.

Kenniston przejął stery. Wielki czarny statek piracki skoczył w górę, popychany ciągiem zamontowanych na kadłubie i ogonie silników rakietowych, a następnie ostrą trajektorią wzniósł się w kierunku cudownego, wypełnionego niezliczonymi pędzącymi małymi księżycami, nieba.

Zanim minęła kolejna godzina, *Falcon* przedarł się w przestrzeń zewnętrzną, przechodząc przez okresową szczelinę w roju krążących wokół asteroidy meteorów. Teraz pędził już przez kosmos ze stale zwiększającą się szybkością, z każdą chwila oddalając się od Planety Tysiąca Księżyców.

– Skierujemy się na Marsa – powiedział pozostałym Kenniston. – Musimy zameldować o tym, co tutaj się stało, Patrolowi.

– Jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu – pośpiesznie wtrącił Holk Or, – to prosiłbym, żebyś wcześniej zostawił mnie gdzieś, na którejś z asteroid. Nie czuję specjalnej ochoty na spotkanie z Patrolem.

Kapitan Walls uspokajał Jowianina.

– Nonsens! Po tym, co dla nas zrobiłeś, otrzymasz od Patrolu pełną amnestię.

– Możesz na to liczyć – zapewnił niespokojnego Jowianina również Hugh Murdock. – Tam w domu, na Ziemi, mamy ostatecznie pewne wpływy.

– No cóż. Wobec tego zdaje się, że będę musiał rozpocząć uczciwe życie – westchnął Holk Or. – I tak wszystkie prawdziwe pirackie bandy, obecnie są już przeszłością. – Kiedy wychodził z mostka, kręcił ciężko głową. – Ten Układ z pewnością nie będzie już tym co kiedyś.

Kapitan Walls z żarliwością w głosie zapytał Ricky'ego.

– Czy jest pan zupełnie pewien, że pański środek wyleczy mojego syna? Przez te wszystkie lata ciągle miałem nadzieję, i modliłem się…

– Jestem pewien – uśmiechnął się Ricky. – Kiedy wrócimy na Ziemię, w ciągu kilku tygodni paraliż grawitacyjny stanie się jedynie zmorą z przeszłości.

Obaj wyszli, razem ze wszystkimi. Gloria jednak zwlekała z opuszczeniem mostka, i została sama z Kennistonem.

– Co zrobisz, kiedy znajdziemy się już w domu? – spytała go cichym głosem.

– Och, wrócę w kosmos – odparł, nieco nieswojo. – Teraz, kiedy praca Ricky'ego zakończyła się sukcesem, nic już mnie nie trzyma na Ziemi.

– Nic cię nie trzyma na Ziemi? – powtórzyła Gloria. – Powiedziałabym, że to jest chyba najbardziej nieuprzejma kwestia, jaką w życiu usłyszałam.

Zarumienił się.

– Chyba nie chodzi ci… tej nocy, na *Sunsprite*… pewnie nie brałaś tego na poważnie…

– Twoje namiętne oświadczyny zostały przyjęte – spokojnie stwierdziła Gloria.

Kenniston był kompletnie osłupiały.

– Ale ja nie miałem zamiaru się oświadczać! To znaczy… kocham cię, i dobrze o tym wiesz, ale ty jesteś dziedziczką, a ja…

– Będziemy jeszcze mieli całą drogę na Marsa, żeby *to* przedyskutować – obiecała mu. – I coś mi się wydaje, że to moje będzie na wierzchu.

Kennistonowi wydawało się dokładnie tak samo.

KONIEC